Nr. 44 (1192). **Warszawa, dnia 19 (31) Października 1903 r.** **Rok XXIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

NOWA NOTA.

Jeszcze podczas zjazdu w Mürzsteg, z niesłychanym pośpiechem, oba państwa działające na Bałkanach wysłały do Konstantynopola notę wzywającą do wykonania reform i przepisującą Turcyi obowiązek dokonania różnych czynności, mających powściągnąć barbarzyństwo w uśmierzaniu powstania, zagoić z grubsza jego rany, zapewnić nieszczęśliwemu krajowi powrót do życia spokojnego. W telegramie i w późniejszej pisanej już nocie była zapowiedziana nota dalsza, rozwijająca żądania, wyszłe z ustronia styryjskiego, a mająca wskazać niezbędne środki kontroli nad postępowaniem rządu i władz tureckich w Macedonii. Ta właśnie zapowiedziana nota teraz, 22 b. m., znalazła się w rękach w. wezyra. Oba mocarstwa działające podały ją w tożsamem co do litery brzmieniu, a ta zgodność, nadająca powagę samej treści, ma zarazem Turcyę ostrzedz o dalszych skutkach oporu przeciwko woli, nacierającej w tak doskonałej jedności. Nowa nota nie samą tylko kontrolę nad wykonaniem dawniejszych żądań wytworzyć pragnie: stawia jeszcze nowe zupełnie żądania i pod tym względem znacznie jest śmielszą od pierwszej; wszakże i jej o zbytnią odwagę, o jakiś radykalizm obwiniać nie można.

Nota ma aż 9, a nawet 10, punktów. W pierwszym mocarstwa domagają się agentur cywilnych rosyjskich i austryackich przy generalnym inspektorze macedońskim Hilmim-baszy, wraz z sekretarzami i dragomanami do objazdów, śledztw i raportów. W drugim ma żandarmerya projektowana otrzymać naczelnika i wystarczającą liczbę oficerów europejskich; naczelnikiem będzie jeden z generałów europejskich. Po uspokojeniu kraju rząd turecki wprowadzi nowy podział terytoryalny (3); zreorganizuje sądy i administracyę, dopuści do nich chrześcian i zapewni krajowi samorząd (4). Wyśledzeniem sprawców nadużyć i przestępstw politycznych zajmą się komisye turecko-chrześciańskie, z udziałem przedstawicieli Rosyi i Austryi (5). Rząd turecki wyasygnuje kwoty na powrót wychodźców i powstańców do domów, na wsparcia, na odbudowę kościołów i szkół. Tu znowu komisye mieszane i kontrola mocarstw (6). Powracających do wsi spalonych Porta uwolni na cały rok od podatków (7). Turcya nanowo zobowiąże się do reform lutowych (8). Nakoniec rozpuści jak najprędzej ilawów (rezerwę) i baszybuzuków, jako głównych sprawców gwałtów i okrucieństw. To wszystko: ani słowa groźby.

Ustanowienie agentów cywilnych odrazu, a przynajmniej w maju r. b., kiedy powstanie na nowo z wiosną rozpalać się zaczęło, grożąc większym niż poprzednio płomieniem, mogło jeszcze przynieść pożytek, zapobiedz nadużyciom, przybliżyć czas sposobny na reformy; dziś, po tak długiem zażywaniu przez Turcyę złotej swobody— nierobienia niczego, a przez wojsko tureckie — pustoszenia kraju i tępienia jego mieszkańców nieposłusznych padyszachowi — da tylko ogień ze słomy, której obficie zresztą w obecnej akcyi dwu wielkich mocarstw używano. Tacy *quaestores parricidii* w porze zimowej przeważnie już tylko sędziami śledczymi być mogą, a ich wysłańcy dragomanowie i sekretarze — nie zaspokoją swego urzędniczego apetytu bez własnej policyi, któraby ich ochraniała, dając im jednocześnie ramię wykonawcze. Wytworzenie tej policyi właśnie, po 9 miesiącach dopiero stać się mające już rzeczywistą troską mocarstw, zajmie długi przeciąg czasu — i w całej dyplomacyi obecnej nie było i niema w tej jeszcze chwili punktu jaskrawiej świecącego niemocą i niedołęztwem — oczywiście, rozmyślnem.

Żądanie — nieledwie gotowibyśmy powiedzieć: propozycya — asygnacyi na rozmaite cele, naprawiające społecznie złe, niszczące skutki walki — jest chłostaniem wody biczem. Żądać od bankruta, niepłacącego własnych swych urzędników, własnych nawet oficerów, aby dawał pieniądze na potrzeby cywilizacyjne tych, których wojska jego gnębiły — jest to pochlebiać mu tylko, że jest jeszcze wielkim panem, potrzebującym tylko pociągnąć piórem, aby wysypać całe wory złota. Turcya doskonale wie, że jej od tych asygnacyj nic nie będzie: podpisze, bo ma jeszcze pióra i papier, ale nie da pieniędzy, bo ich już nie ma na najpilniejsze nawet własne swe potrzeby państwowe. Przytem, gdzie pewność należytego użycia funduszów, należytej samej „repatryacyi"? kto nią kierować, kto nad nią czuwać będzie? Nota milczy, więc Turek, a jeżeli gdzie to tu właśnie potrzebni są komisarze, agenci, delegaci i wszelkiego rodzaju urzędnicy, z przeważną policyą i żandarmeryą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Układy w Tokio ciągle jeszcze trwają, z przerwami potrzebnemi na namysł, odwoływanie się do rządów i wypoczynek po trudach sofistyki dyplomatycznej. Prezes ministrów japońskich uspakaja opinię, że nic niema groźnego: owszem, porozumiewanie się zapowiada

dobry skutek; ale rząd japoński wie co go czeka, i zbroi się ustawicznie, dbając szczególniej o flotę, która wrazie wojny ma przed sobą zadanie główne, może rozstrzygające. D. 24 b. m. odbyła się w Tokio wielka rada pod prezyd. samego mikada: dwie na niej starły się opinie, dwa stronnictwa, pokoju i wojny: tak bywa zawsze i wszędzie, jeśli wojna nie wybucha nagle, a umysły mają czas na logikę i na tchórzostwo. Prezes gabinetu jest za błogosławionym środkiem: radzi przystać na poręczenie przez Rosyę nietykalności Chin i Korei, a Mandżuryę pozostawić już nazawsze w jej posiadaniu. Niewiadomo co o tej radzie, co o przymierzu swojem z Japonią myśli Anglia. Abdykacya Japonii będzie wskazówką jej osamotnienia. Naprężenie wojenne rzuca się już w oczy. Rosyanie nad pograniczną rzeką Jalu wznoszą forty, mogące dać dzielne oparcie działaniom na Koreę, a utrudniające wielce strategię przeciwnikowi. Japonia ma 100 tys. wojska gotowego do boju, Rosya ok. 80,000.

Zapowiedziany przyjazd hr. Lamsdorffa do Paryża na umyślne narady z p. Delcassèm, oznajmiony przez rossyjską agencyę telegraficzną handlową, zjazd w Wiesbadenie pomiędzy 7 a 9 paźdz. niezawodnie odbiją się i na polityce wschodnio-azyatyckiej; bliżej jednak dotkną stosunków wschodu europejskiego, pośrednio, a prawdopodobnie i bezpośrednio, Austryi, której konstellacya pruska niedługo przyświecać będzie.

Od 20 b. m. zasiadają już Izby francuskie. Z Anglią rząd podpisał układ o oddawanie pod sąd polubowny sporów, wynikających z traktatów, o ile nie chodzi w nich o całość państwa lub jego honor. Przeważnie materyału dostarczać będą traktaty handlowe, żeglarskie i rybołówcze: niewielka obrada.

Na Węgrzech rząd jeszcze nie wytworzony. Nie mógł się podjąć zadania p. Lukacs, podjął się ponownie p. Tisza, syn Kolomana; chce on pierwej przeprowadzić przez stronnictwo liberalne zmianę punktu, nieprzyjętego przez króla, a zastrzegającego jego prawa wyłączne w wojskowości, potem zaś dopiero utworzyć gabinet: nie przeprowadzi i nie utworzy, tylko stronnictwo liberalne się rozpadnie, Aponyi ze swoimi z niego wystąpi, i będzie większy jeszcze zamęt.

We Lwowie sejm obradować miał do końca miesiąca. Po załatwieniu się ze szkołami, d. 27-go zabrał się do budżetu. Rusini wyto- czyli sprawę studentów, jako pokrzywdzonych przez młodzież polską. Metr. Szeptycki odebrał duchowną z uniwersytetu i kształci ją w seminaryum.

Porta otrzymała od Austryi i Rosyi notę, o której w art. wstępnym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Nowe burdy w uniwersytecie lwowskim. — Szał szowinistyczny. — Pracowitość sejmu lwowskiego. — Wybór p. Bobrzyńskiego. — Wybory w Tarnowskiem.

Uniwersytet lwowski znowu się stał widownią obrzydliwych awantur.

Sytuacya jest taka, że szowiniści polscy z narodowymi demokratami na czele, prowadzą wściekłą agitacyę przeciwko zakładaniu gimnazyów ruskich wogóle, a gimnazyum w Stanisławowie w szczególności, popierając swe wywody najbrudniejszymi argumentami. *Słowo Polskie* i *Dziennik Polski* drukują całe szpalty denuncyacyi pod adresem wychowańców gimnazyów ruskich, przedstawiają te ostatnie jako gniazda propagandy ateistycznej i przewrotowej, wmawiają w opinię publiczną, że z gimnazyów ruskich wychodzi dzicz, pozbawiona wszelkich zasad, wszelkiej kultury itd. Pisma szowinistyczne ogłaszają każdego Polaka, odzywającego się ze współczuciem dla kulturalnych dążności Rusinów, za zdrajcę, za lokaja centralizmu austryackiego, za wyrzutka społeczeństwa i t. p. I w chwili, kiedy posłowie ruscy w sejmie postępują z wielkim taktem w sprawie gimnazyum stanisławowskiego, studenci-Rusini obrzucają zgniłemi jajami księdza Fijałka.

O co chodzi w całej tej awanturze:

Ksiądz Fijałek był przed dwoma laty dziekanem wydziału teologicznego na uniwersytecie lwowskim. Na tem stanowisku złożył dowody wielkiej nietolerancyi względem języka ruskiego, albowiem, wbrew utartemu zwyczajowi, odrzucił zapisy teologów ruskich, wypełnione w ich mowie ojczystej. Tak brutalny akt pociągnął za sobą nieobliczalne następstwa: zaburzenia uniwersyteckiej secesyę studentów-Rusinów, rozognienie się waśni narodowościowej wśród młodzieży itd. Ksiądz Fijałek stał się jednym z najbardziej przez Rusinów znienawidzonych profesorów.

W dwa lata po tych zajściach ks. Fijałek został rektorem. Zwykle na rektora wybiera się przedstawicieli poszczególnych wydziałów z kolei. W tym roku przyszła kolej na wydział teologiczny, gdzie kandydatem był ks. Bartoszewski — Rusin. Jest zwyczaj, że na rektora wybiera się najstarszego z profesorów danego wydziału, ale ponieważ godność rektorska zapewnia piastującej ją osobie głos wirylny w sejmie, przeto większość profesorów-Polaków nie dopuszcza Rusinów do rektorstwa. I w roku bieżącym ciało profesorskie uniwersytetu lwowskiego złożyło dowód swej „tolerancyi“ pomijając ks. Bartoszewskiego a wybierając ks. Fijałka.

Młodzież ruska dopatrzyła się w tem prowokacyi i podczas inauguracyi postanowiła zademonstrować przeciwko wyborowi ks. Fijałka. Ks. Fijałek sam zrozumiał, że na stanowisku rektora jest osobistością nieodpowiednią, to też zrzekł się tej godności, ale został wybrany ponownie. Chcąc uniknąć demonstracyi, urządził uroczystość inauguracyjną za zaproszeniami, przyczem studenci ruscy otrzymali zaledwie trzydzieści kilka biletów, kiedy narodowi-demokraci z „Czytelni Akademickiej“ mieli ich dziesięć razy tyle.

Inauguracya przeszła spokojnie, lecz studenci ruscy wdarli się do sali, w której wykładał ks. Fijałek, przerwali mu wykład i obrzucili go zgniłemi jajami.

Ten napad dał broń w ręce szowinistom polskim z „Czytelni Akademickiej,“ którzy postanowili wyzyskać ten smutny epizod dla propagandy nienawiści narodowej. W głowach tych młodzieńców powstał dziki projekt niedopuszczenia żadnego Rusina do uniwersytetu. I oto młodzież narodowo-demokratyczna urządziła „blokadę“ gmachu uniwersyteckiego, obozując w nim od godziny 5-tej

---

Wacław Sieroszewski.

WYCIECZKA.

(Dokończenie).

Rozmowa zwolnaześrodkowała się na Japonii. Gdym chwalił piękność ich ojczyzny, trwogą i radością mieniły im się rysy.

— Ach, niech by już była sobie brzydka, taka... do niczego! przerwał jeden.

— Wy, europejczycy, tylko chodzicie wszędzie i wypatrujecie!.. — wybuchnął drugi.

— I twoja ojczyzna była pewnie i słodka, i ładna... z delikatnem niedomówieniem dodał Hirosawa

Przyjazny nastrój rozwiał się, gawęda urwała. Wyszedłem z mocno zadymionej kajuty, aby się orzeźwić.

Czarny nasz parowiec wśród czarnych, cichych wód, biegł, drgając miarowo z jednostajnym mamrotem ku mglistej północy. W kajucie cienkimi dyszkantami śpiewali Japończycy:

Kimiga jowe czijoni-ja-czijoni,
Sadzarej-iszi no iwaoto narite,
Kokeno musumade...

Niech Dom Twój, Władco, trwa wiecznie,
Aż mały kamyk wyrośnie
W wielką, omszoną opokę...

Nazajutrz obudziło mię wołanie:

— Wstawaj, polski podróżniku!—Góra... północna Furijame!

Ubrałem się pośpiesznie i wyszedłem na pokład.

Wprost z morza wznosił się wysoko wspaniały, szmaragdowy stożek wulkanu z białemi plamami śniegu na szczycie i szarem miasteczkiem u stóp, u samej sinej wody. Była to wyspa Riszri—ostatni pilon zielonej Japonii. Soja—krańcowy przylądek Jesso — mglisto rysował się wdali. Wkrótce minęliśmy go, a ponieważ wiatr wzmagał się i był pomyślny, napięliśmy żagle.

Ziemia znikła we mgłach. Czarne morze falowało coraz gwałtowniej. Zrobiło się tak zimno, że musiałem włożyć grubszą odzież. Statek nasz chylił się, obsuwał po ślizkich bokach bałwanów i uderzał o ich dno, aż piana wybryzgiwała wysoko z pod niego na pokład. Czasem wodne pagórki wzdymały się wyżej burty i wówczas światło dnia, przeświecając przez czochrate ich czuby, zamieniało je w śliczne, zmienne grzędy roztopionego opalu i szmaragdu.

Ale pośrodku cieśniny Laperusa, gdzie ścierają się wichry i prądy Wschodu i Zachodu, morze było tak wzburzone, a ryk fal tak dokuczliwy, że już nie mogłem w dostatecznej mierze oceniać wspaniałości obrazu. Trzeba się było mocno trzymać za poręcz i strzedz, by wiatr lub czuby fal nie uniosły z głowy kapelusza, idąc zaś, należało więcej patrzeć na taczający się pod nogami pokład, niż na grające morze. Nadomiar złego zaczął mżyć deszcz.

Nie opuścił on już nas od tej pory ani na chwilę... Płynęliśmy wciąż w szarym obłoku i za jedyną rozrywkę służyły nam często pojawiające się stada delfinów, które, ścigając się wzajem, wyskakując z fal i koziołkując, starały się nas koniecznie wyprzedzić.

Pod wieczór we mgłach zarysował się na wschodzie dziki, jednostajnie urwisty brzeg Sachalinu.

Noc ciemna, choć oko wykol; przycichłe morze szumiało łagodnie pod gęstym tumanem.

Japończycy znowu mieli ochotę urządzić literacko-muzykalny wieczór, ale moje serce łaknęło samotności; myślałem o spotkaniu, dla którego przedsięwziąłem tę długą podróż. Do późnej nocy stałem na dziobie, oparty o burtę i patrzałem na blade wiry, kotłujące się pod sztabą parowca. Żal bezbrzeżny, jak to nocne morze, dusił mię...

Nazajutrz znów mgła, deszcz, szary poranek i szary dzień. Ale chwilami przez obłoki przeświecało mgliste słońce i rzucało na ołowiane fale, ładne, srebrne błyski.

Na wschodzie wciąż ten sam ciemny, opoczysty, nieprzystępny, jak wał forteczny, brzeg Sachalinu bez szczerby, zatoczki, przystani i bez śladu mieszkańców. Czasa-

rano i faktycznie nie dopuszczając studentów-Rusinów. Jakiem prawem, na jakiej zasadzie?— napróżnobyśmy szukali odpowiedzi na to pytanie. Szał, popychający studentów-Rusinów do rzucania zgniłemi jajami, każe młodzieży polskiej odgrywać rolę policyi.

Wobec „blokady,“ wyzuwającej z praw znaczny odłam studenteryi, dalsze trwanie wykładów byłoby nonsensem. Zostały więc zawieszone. Polscy szowiniści zrozumieli, że doprowadzają do absurdu życie normalne uniwersytetu i znieśli blokadę, zastępując ją przez straż przy „zagrożonych“ katedrach. Nikomu nic naturalnie nie grozi, ale walka potrzebuje męczenników, chociażby urojonych i oto, poczęły krążyć pogłoski, że Rusini chcą znieważyć czynnie jeszcze kilku profesorów, między innymi „wschodnio-galicyjskiego uczonego,“ prof. Głąbińskiego. Projektowanych męczenników poczyna już otaczać ta aureola, jaka przypadła w udziale ks. Fijałkowi, którego zgniłemi jajami ucharakteryzowano na jakiegoś nadzwyczajnego bohatera narodowego. Studenci złożyli mu około 600 kart wizytowych, ktoś ofiarował 10 złr. na szkołę imienia ks. Fijałka, w pismach drukują się sążniste jego biografie itd., a organy szowinistyczne wyją formalnie z radości, że się młodzież ruska skompromitowała.

Radość tę jednak mąci jedna okoliczność, bardzo dla pp. demokratów narodowych niepożądana. Chodzi im o wykazanie, że gimnazya ruskie wychowują dzicz niekulturalną, że właśnie wskutek istnienia gimnazyów ruskich możliwe są demonstracye ze zgniłemi jajami. Tymczasem pomiędzy czynnymi (już relegowanymi) uczestnikami demonstracyi tylko jeden jest wychowańcem gimnazyum ruskiego, wszyscy zaś inni pokończyli gimnazya *polskie*. Szowinistom więc odpada jeden z najponętniejszych argumentów przeciwko gimnazyom ruskim.

Swoją drogą demonstracya przeciw ks. Fijałkowi była wodą na młyn demokracyi narodowej. Konserwatyści, którzy na rozkaz z Wiednia popierali żądania ruskie, obecnie posiadają zupełnie naturalny pretekst do wycofania się z zajętego stanowiska. Oburzenie ogółu polskiego jest dla nich dostatecznym powodem do niepopierania sprawy gimnazyum stanisławowskiego. To też na posiedzeniu koła sejmowego, w którem oprócz ludowców brali udział przedstawiciele wszystkich frakcyj polskich, zapadła uchwała, że obecnie nie należy dawać Rusinom gimnazyum w Stanisławowie. P. Bobrzyński oświadczył, że po demonstracyi przeciwko ks. Fijałkowi i on nie uważa za możliwe popierać sprawy gimnazyum, jakkolwiek był uprzednio za jego założeniem.

Dla Polaków, pragnących rzeczywiście postępowego rozwoju kraju i jego kultury, demonstracya uniwersytecka była nie na rękę. Szał szowinizmu, zarażający i tak już szerokie koła naszego społeczeństwa, będzie się rozpościerał coraz dalej, tamując bieg naszego życia publicznego i sprowadzając je na manowce walk narodowościowych w interesie wszelkiej reakcyi. Każdy wybuch szowinizmu polskiego wywołuje takiż sam wybuch u Rusinów. *Słowo Polskie* znajduje zdolnego naśladowcę w *Dile*, *Ojczyznie*, w *Hajdamakach*. Sypią się potwarze, oszczerstwa i denuncyacye ze stron obydwóch, walka rozognia się, demoralizując swych uczestników, znieprawiając charaktery, a najpilniejsze potrzeby społeczeństwa i kraju, najbardziej piekące zagadnienia doby obecnej nie mogą być załatwione, gdyż cała energia najruchliwszych żywiołów marnuje się w walce bratobójczej, bezmyślnej, bezcelowej.

Gdyby trzecia część tej energii, jaka się wyładowywa z powodu różnych zajść narodowościowych, zużyła się na polu pracy sejmowej, nie mielibyśmy tych skandalicznych stosunków, jakie panują w sejmie lwowskim. Skandaliczność polega na niesłychanem lenistwie panów posłów, obdarzonych mandatami chyba nie po to, aby świecili w sejmie nieobecnością. Raz po raz brak tu kompletu i wskutek tego obrady nie mogą rozwijać się normalnie. Do kompletu potrzeba 80 posłów, w przeciwnym razie żadne głosowanie nie jest ważnem. Tymczasem tej liczby posłów na sali niema prawie nigdy. Utarło się, że zwykle nie zwraca się na to uwagi, jeśli na porządku dziennym niema jakiejś sprawy roznamiętniajęcej przeciwników politycznych, na posiedzenie zjawia się trzydziestu kilku posłów. Ta liczba ku końcowi posiedzenia wzrasta do 50—60, nigdy prawie więcej. Posiedzenia rozpoczynają się o godzinie 11, a o 1-ej już sala świeci pustkami. Niechby tylko ktokolwiek z opozycyi zażądał obliczenia obecnych, a żadne posiedzenie nie minęłoby bez zerwania. Korzystają z tego stanu rzeczy konserwatyści żądają sprawdzenia kompletu, ile razy widzą, że lewica stawiła się nieco liczniej i będzie mogła przeprowadzić niedogodną dla stańczyków uchwałę. W ten sposób już kilkakrotnie musiano zamknąć posiedzenie.

Nie lepiej dzieje się w komisyach sejmowych. Prace tych ostatnich wloką się niezmiernie ociężale, gdyż i tu trudno o komplet, a jeszcze trudniej o referat. Komisye zbierają się rzadko, prace ich nie postępują, zaległości piętrzą się coraz bardziej. Pod koniec sesyi, kiedy trzeba na gwałt przedstawiać wnioski, pędzi się na łeb na szyję, byle zbyć sprawę. Ci z członków komisyi, którzy na posiedzeniach nie bywali przez lenistwo, na posiedzeniu plenarnem stawiają wnioski samoistne, możliwe do uwzględnienia w komisyi. Wskutek tego sprawy bardzo ważne, na których szybkiem załatwieniu ogromnie zależy, znowu wędrują do komisyi, grzęzną tam i odwlekają się w nieskończoność. Zaprzepaszcza się takim trybem całe mnóstwo spraw ekonomicznych, administracyjnych itd.

I oto, skoro rząd przez dłuższy czas nie zwołuje sejmu, w pismach wszelkich odmian czytamy skargi i lamenty na centralizm wiedeński, niedopuszczający do załatwienia najpilniejszych spraw krajowych. Gdy jednak rząd zwoła w końcu sejm na dłuższą sesyę, jak to jest obecnie, panowie posłowie nie chcą pracować.

Taki stan rzeczy wykazuje każdemu myślącemu człowiekowi konieczność wpuszczenia do tej sennej sadzawki bodaj kilku szczupaków z opozycyi prawdziwej. Dopóki to nie nastąpi, dopóty brak kompletu będzie stałem zjawiskiem w sejmie lwowskim. Reforma wyborcza jest jedynem lekarstwem, mogącem uzdrowić sejm galicyjski, ale panująca w nim większość nie chce tej reformy. Wniosek posła ruskiego, Oleśnickiego, domagający się V-ej kuryi i bezpośrednich wyborów w kuryi wiejskiej, ugrzęźnie zapewne w komisyi, do której go odesłano, choć ludowcy odgrażają się, że przejdą do obstrukcyi, jeśli

---

mi czajka przyleciała stamtąd, w milczeniu okrążyła nasz parowiec; czasem sznur czarnych kaczek pomknął nisko nad wodą, ku wyspie. I nic więcej! Morze schłostane wichrem i deszczem, brzegi zasnute tumanem i nasz skołatany parowiec... W nocy znów morze przycichło, jakby przyduszone zsiadłymi opary. Chwilami jedynie pojedyncza, zbuntowana fala wzdymała się wysoko i z łoskotem spadała na tył okrętu.

Wcześnie pokładli się spać Japończycy, aby wypocząć dobrze przed pracą oczekującą ich po przybyciu do Aleksandrowska. Usnąłem wreszcie i ja. Obudziła mię cisza i nieruchomość statku. Nie dyszał już, nie warczał, nie sunął. Dobiegł mię rumor zarzucanej kotwicy. Przez zapocone okno nic nie mogłem zobaczyć, wyjrzałem więc za drzwi. Niedaleko, za siatką dżdżu czerniał skalisty przylądek, a przed nią, w morzu, jedna za drugą trzy ostre skały, pochylone jak trzech modlących się mnichów. To byli słynni sachalińscy „Trzej bracia“.

Ileż was oglądało już oczu smutnych i znękanych?.

Za skalistym przylądkiem w jednostajnie mglistem, perłowem przestworzu rysowała się podłóżna plama lądu, a przed nim w otwartem prawie morzu wznosił się szary, nędzny pomost z drewnianych pali. Fale wciąż tłukły się o niego i pluły pianą do góry. Na prawo od pomostu, wzdłuż brzegu piął się na zbocze drewniany wodociąg, na długich, cienkich, jak u komara nogach, a na lewo w dali szerzało niewyraźnie miasteczko.

Wszystko siekł niemiłosiernie deszcz. Zrozumiałem, że parostatek nieprędko się w tych warunkach dowoła rządowej łodzi z przystani, i chroniąc się od zimna, położyłem się napowrót w ubraniu na posłanie. Nie usnąłem jednak, lecz liczyłem z niecierpliwością wybijane na wancie godziny. Wreszcie usłyszałem charakterystyczne sapanie małej, parowej maszyny, zabrzmiały dźwięki mowy słowiańskiej... Zerwałem się i skoczyłem do drzwi. Na pomoście stało dwóch ludzi w urzędniczych czapkach z gwiazdkami.

— Nie wiedzą panowie, czy Adam S. już wyjechał?

— Nie jeszcze. Pan pewnie jego brat?! Jestem doktorem S. — przedstawił się jeden z nich.

— Policmajster T. — rzekł drugi, wyciągając rękę.

Czekają tu na pana z niecierpliwością.

— Panowie mię zabiorą?

— Owszem, z przyjemnością. Ale przedtem musimy załatwić formalności z Japończykami.

Doktór przerzucał papiery okrętowe, policmajster rozglądał się po statku.

W kwadrans potem już siedziałem w łodzi parowej. Z sykiem, w pląsach biegła ona z fali na falę, a moi towarzysze wypytywali mię o rozmaite nowiny ze świata... Nie wiem, com im odpowiadał, lecz przypuszczam, że dowiedzieli się niewiele.

Na przystani doktór przez telefon dał znać bratu, że przyjechałem. Policmajster tymczasem ofiarował mi uprzejmie chwilowy przytułek. Wyszliśmy za wrota pomostu, strzeżone przez odźwiernego w uniformie i pierwszy obraz, który ujrzały me oczy, był tłum skazańców pogolonych i zakutych w łańcuchy. Pchali, ignąc w błocie, wagon naładowany drzewem. Wokoło stał konwój z bagnetami i nabitą bronią. Skazańcy przyglądali mi się posępnie, z pode łba, siląc się zapewne odgadnąć z grzeczności policmajstra, co im niosę: nowe cierpienia, czy możność nowych zbrodni?..

W mieszkaniu gościnnego urzędnika znalazłem wszystko, co mi było potrzeba; lecz nie zdążyłem się przebrać, gdy już brat i siostra stali przede mną. Brata ostatni raz widziałem przez małe okienko w chwili, gdy biegł za uwożącą mię karetą; siostry nie widziałem od dzieciństwa... Burze rozrzuciły nas na różne krańce świata...

— Biedni, biedni!.. — powtarzałem, ściskając ich gwałtownie.

— Milcz!..

Policmajster patrzał na nas ciekawie, ale ze współczuciem...

Hakodate, 23 lipca 1903 r.

reakcyoniści będą lekceważyć żądania szerokich warstw ludowych w kierunku zapewnienia im wpływu na ustawodawstwo krajowe. Obstrukcya w sejmie lwowskim jest ogromnie ułatwiona, bo należy tylko domagać się sprawdzenia, czy jest na sali komplet, aby uzyskać zamknięcie posiedzenia.

W Wadowicach odbyły się t. zw. „wybory“ z kuryi wielkiej własności ziemskiej, przyczem 47 głosami na 56 wybrano na posła do parlamentu p. Bobrzyńskiego. Posada poselska dla p. Bobrzyńskiego była zarezerwowana już od dawna, odkąd przestał być naczelnikiem Rady szkolnej krajowej. P. Bobrzyński wchodzi do parlamentu nie jako zwykły poseł, ale jako kandydat do godności prezesa Koła polskiego.

Obecny prezes Koła, Jaworski, znany pod przezwiskiem regimentarza, ma się już wkrótce usunąć ze stanowiska, jako zbyt stary. „Regimentarz“ złożył bardzo liczne dowody umiejętności kierowania Kołem, uwarunkowanego dokładną znajomością psychologii pojedynczych członków, kółek, grupek i frakcyj tego ciała, ale w końcu już nie mógł dać sobie rady, nie mógł opanować wszystkich ambicyek, wytwarzających atmosferę ustawicznych intryg. Trzeba było szukać kogoś na miejsce Jaworskiego — i to tembardziej, że pierwszy wiceprezes Koła, hr. Wojciech Dzieduszycki, popularnie zwany „Wojtkiem,“ jest osobistością zanadto kompromitującą, ażeby mógł awansować na prezesa. To też wkrótce będziemy niewątpliwie świadkami gry zajmującej, jaką rozpoczną stańczycy krakowscy w celu ułatwienia p. Bobrzyńskiemu zdobycia przewodnictwa w Kole. Zobaczymy konszachty z klerykalnem centrum, grupującem się dokoła ks. Pastora, p. Głąbińskiemu da się łapówkę w postaci stanowiska w ministeryum itd. Po zdobyciu przez p. Bobrzyńskiego stanowiska prezydenta panowanie stańczyków krakowskich, obecnie nieco zamaskowane, stanie się jasnem. Namiestnikiem jest stańczyk hr. Potocki, a stańczyk hr. Wodzicki ma już w niedalekiej przyszłości wysadzić z siodła p. Piętaka, ministra dla Galicyi.

Inny wybór przyniósł zwycięztwo stronnictwu ludowemu. Mianowicie w IV kuryi okręgu wyborczego tarnowskiego kandydat ludowców — włościanin Włodek, pobił na głowę kandydata klerykalnego, księdza Zygulińskiego.

Tarnów i okrąg tarnowski należał wogóle do niedawna do najbardziej klerykalnych powiatów Galicyi. Biskup Łobos, znany prześladowca ruchu ludowego we wszystkich jego objawach, zrobił z Tarnowa prawdziwą fortecę klerykalizmu i potrzeba było wielkich usiłowań, aby ten wpływ w Tarnowie złamać. Wybór p. Włodka jest jednym ze skutków tych zabiegów.

Przy wyborze p. Włodka pokazało się, niestety, że stronnictwo ludowe nie posiada sprężystej i karnej organizacyi. Przeciw ks. Zygulińskiemu stanęło aż trzech kandydatów ludowców i dopiero wybory powtórne skupiły ich głosy przy kandydaturze p. Włodka. Ten brak organizacyi i karności znacznie osłabia wpływ stronnictwa i ułatwia stańczykom i demokratom narodowym zwalczanie ruchu ludowego.

Daleki.

Upadek książki.

Wkilku jednocześnie krajach Europy prasa stwierdziła fakt zmniejszenia się rozprzedaży książek i zaczęła odkopywać jego korzenie w życiu. W Niemczech i we Francyi za pomocą wywiadów w sferze interesowanej i z przedmiotem obznajmionej zebrano wiązankę przyczyn, które mają tłomaczyć ów upadek. Znajdują się między niemi najrozmaitsze, począwszy od niedbałej i przedajnej krytyki, która zobojętnia i fałszuje opinię publiczną, a skończywszy na nadmiernym rozroście „sportów,“ które dogadzają ciału kosztem ducha. We wszystkich tych wywodach i przypuszczeniach nie dostrzeżono i nie wskazano dwu wpływów, które posiadają pierwszorzędne znaczenie.

Nabywanie książek i gromadzenie bibliotek prywatnych zwykliśmy uważać za jeden z objawów cywilizacyi. Tak jest w istocie, ale zarazem zauważyć łatwo, że objaw ten stanowi równocześnie znamię niezbyt wysokiego jej stopnia, tego, który, według Sutherlanda, należy zaledwie do okresu „niższej kultury“ (obecnego stanu narodów najoświeceńszych). Wiadomo, że „gospodarstwo domowe“ stanowiło pierwotnie zlepek najrozmaitszych czynników życia: nietylko dzieje, ale nawet starsze śród nas pokolenia pamiętają czas, kiedy ono było nietylko domem rodzinnym, ale także szkołą, przędzalnią, tkalnią, browarem, pracownią krawiecką, warsztatem stolarskim itd. Jeszcze nasi bezpośredni przodkowie wyrabiali w domu piwo, miód, płótno, sukno i inne artykuły użytkowe. Powoli rozwój ekonomiczny oderwał je od ognisk rodzinnych i złączył w osobne gałęzie przemysłu. Dziś nabywamy piwo z browarów, a płótno z fabryk. Pozostawiliśmy jeszcze w znacznej mierze przy gospodarstwach jednostkowych niektóre roboty — jak np. kuchnię i pralnię — ale i te coraz bardziej wyosabniają się, jako odrębne przedsiębiorstwa ekonomiczne. Otóż nie ulega wątpliwości, że biblioteki prywatne są także przeżytkiem, skazanym na zagładę i że prędzej czy później muszą ustąpić miejsca publicznym. Chociaż one dziś są przedmiotem naszych starań i dumy, łatwo zrozumieć, że tkwi w nich „złe konieczne,“ że stanowią zbyt wielki ciężar i że zwykle nie odpowiadają potrzebom swych posiadaczów. Jeżeli pominiemy czczą próżność i manię zbiorów, to przyznamy, że tylko ludzie wyjątkowej zamożności mogą kupować wszystko, co pragnęliby przeczytać i że najbardziej pożądanem byłoby takie położenie, w którem każdy mógłby dostać łatwo z biblioteki publicznej na pewien czas potrzebną mu książkę. Tak też poniekąd już jest w społeczeństwach z szeroką oświatą. Niejeden z nas dziwi się ogromnie, odwiedziwszy jakiegoś uczonego Niemca i nie spostrzegłszy w jego gabinecie olbrzymiego księgozbioru, tylko małą szafkę z niezbędnymi podręcznikami. Na co mu to, kiedy on może korzystać bez ograniczenia z bogatej biblioteki publicznej? A nie znajduje się ona jedynie przy wyższych instytucyach naukowych i w wielkich miastach, lecz przy każdej gminie, stowarzyszeniu i instytucyi społecznej. Dlatego to nakładcy niemieccy — o ile nie wydają książek zaspakajających ciekawość mas i służących do ciągłego użytku (słowniki, encyklopedye, gramatyki itp.) — stosują ilość egzemplarzy do ilości bibliotek i czytelń, kupujących nowości. Skoro zaś w jakimś kraju sieć tych ostatnich rozpostrze się szeroko — co nastąpiło już dawniej w Niemczech a dokonywa się obecnie we Francyi — rozprzedaż książek musi uledz zmniejszeniu.

Ale chociażby ta sieć dosięgła największych rozmiarów, zawsze, przynajmniej w dzisiejszych stosunkach, istnieć będą po za jej obrębem potrzeby ciekawości i duchowego zadowolenia, podtrzymujące rozkup prywatny. Tu wszakże wystąpiła inna przyczyna osłabiająca. Żyjemy w epoce przeżuwania pomysłów dawnych, przenicowywania i przerabiania rzeczy starych, mechanicznej niemal fabrykacyi powszedniości. Pomimo świeżych przyozdobień, usiłujących ją zakryć i nadać jej pozory wytworów oryginalnych, ogół czytający widzi lub czuje w nowym pokarmie stęchliznę, która go nudzi i odstręcza. Jeden autor z piętnastu dzieł naukowych zrobił szesnaste, drugi z trzydziestu powieści skleił trzydziestą pierwszą — przez pewien czas te kompilacye zyskują powodzenie, ale w końcu tracą kredyt, bo nie uczą i wywołują nudę. Dziś Europa rozmienia w literaturze na drobną monetę spadek odziedziczony po przeszłości, źródło jej świeżych natchnień i prawd jest płytkie—więc książka straciła dla niej powab.

Obie wskazane przyczyny nie są jedyne, ale są bezsprzecznie bardzo wpływowe. U nas naturalnie, którzy w całym kraju nie posiadamy żadnego prawdziwie publicznego księgozbioru, działa tylko druga. Że tak jest, dowodem wielki rozkup utworów istotnej oryginalności. Na Sienkiewiczu, Żeromskim, Sieroszewskim, Przybyszewskim, Reymoncie wydawcy nasi robią doskonałe interesy i w obrębie tych talentów wcale nie skarżą się na „upadek ruchu.“ A jeżeli londyński nakładca świeżo wydanego, Morleyowskiego życiorysu Gladstona mógł zapłacić autorowi 100,000 rubli, wyłożyć na koszta blizko trzy miliony i sprzedać w ciągu tygodnia 200,000 egzemplarzy, to oczywiście książki są kupowane. Tylko trzeba, żeby je pisali Morleye.

S.

Z Cesarstwa.

Nowe instytucye gospodarki ziemskiej w gub. Mohylowskiej, Mińskiej i Witebskiej. — Pierwsze posiedzenia komitetów gubernialnych. — Sesye ziemstw powiatowych w środkowych guberniach Cesarstwa. — Nowy zwrot w operacyi Banku włościańskiego.

Reformy poszczególne lat sześćdziesiątych zeszłego stulecia miały, jak wiadomo, niejednakowe rozpowszechnienie terytoryalne: podczas gdy reforma włościańska objęła całą ludność włościańską w państwie, samorządem miejskim zostały obdarzone nie wszystkie miasta; zaś instytucye samorządu ziemskiego zostały wprowadzone na jeszcze bardziej ograniczonym obszarze. Ta ostatnia reforma ominęła między innemi gubernie południowo- i północno-zachodnie: to pominięcie jednak miało być tylko czasowe, jako spowodowane przemijającymi względami natury politycznej. Smutny stan gospodarki ziemskiej w t. zw. „nieziemskich“ guberniach (a w tej liczbie i w tylko co wspomnianych dziewięciu) ciągle zwracał uwagę i ciągle bardzo wyraźnie uwydatniała się konieczność reformy. W zakresie gospodarki społecznej we wspomnianych guberniach podejmowane były próby częściowych ulepszeń, zmian formalnych, lecz do pożądanego skutku nie doprowadziły. Według świadectwa urzędowego z 1901 r., „braki w działalności urzędów, kierujących sprawami gospodarki ziemskiej w guberniach nieziemskich, występują w tym samym stopniu i w tych samych zarysach, jakie były wskazywane jeszcze w pracach komisyi dla nakreślenia projektu gubernialnych i powiatowych instytucyj ziemskich z końca lat pięćdziesiątych.“ „Nieziemskie“ gubernie, według tego świadectwa, stoją dotąd na nader nizkim poziomie rozwoju społeczno-gospodarczego, zaspokojenie najelementarniejszych potrzeb ich gospodarki ziemskiej znajduje się w „stadyum prawie zarodkowem.“ W sprawie np. lecznictwa — „w guberniach zachodnich jeden lekarz, pełniący służbę z urzędu, przypada przeciętnie na 83,000 mieszkańców, podczas gdy w sąsiednich guberniach „ziemskich“ na 35,000 mieszkańców, czyli że w stosunku do ilości lekarzy (nie

licząc wolnopraktykujących) gubernie nieziemskie przewyższają zachodnie $2^1/_2$ raza..." Dalej: „w rezultacie ludność gubernij nieziemskich ponosi na lecznictwo podwójne, a nawet potrójne ciężary podatkowe: gubernialny podatek ziemski, opłata za leczenie w szpitalach, składka gminna na felczerów i nareszcie cena lekarstwa; ta ostatnia występuje niby pośrednie opodatkowanie nieszczęścia..." W takimże, jeśli nie gorszym, niż lecznictwo, stanie znajduje się w guberniach „nieziemskich" sprawa dobroczynności publicznej. Troska o rozwój środków oświaty ludowej, jako osobna gałąź gospodarki ziemskiej, w guberniach „nieziemskich" wcale nie istnieje" *).

Przytoczone fakty, uznane urzędownie, i wiele im podobnych świadczyły o konieczności reformy, która też znalazła wyraz w Najwyżej zatwierdzonej d. 2 kwietnia r. b. ustawie o zarządzie sprawami gospodarki ziemskiej w 9 wspomnianych guberniach. Ta ustawa została już wprowadzona w życie w trzech guberniach białoruskich: Witebskiej, Mińskiej i Mohylowskiej. W końcu sierpnia i na początku września odbyły się już pierwsze posiedzenia komitetów gubernialnych do spraw gospodarstwa ziemskiego. Wiadomo, że nowa ustawa różni się zasadniczo od ustawy o samorządzie ziemskim, działającej w guberniach środkowych państwa: gdy tam, według ostatniej, sprawami gospodarki ziemskiej zarządza ciało złożone z *wybranych* przez społeczeństwo deputatów, tu znów ustawa powołuje do zarządu rozmaitych urzędników państwowych i dodaje im *mianowanych* przez władzę obywateli miejscowych; tym sposom rola tych obywateli przypomina rażąco przeznaczenie t. zw. ekspertów, powoływanych od czasu do czasu do różnych komitetów i komisyj rządowych. Lecz przypuśćmy, iż nominacyę na „deputatów" (ustawa wtłoczyła nową treść w starą nazwę: „głasnyje") otrzymali właśnie ci sami obywatele, na których padłby wybór społeczeństwa.. Witebski marszałek gubernialny, p. Rimskij-Korsakow, uznaje za nieuzasadnione obawy, wypowiedziane w prasie i społeczeństwie co do charakteru nowych instytucyj ze względu na ich skład osobisty. Zdaniem p. marszałka, „wszystko, czego komitet dokonał, obala pogląd, jakoby jedni z uczestników komitetu — przedstawiciele administracyi— mieli traktować swe obowiązki formalistycznie, a drudzy— deputaci mianowani, a nie wybrani — nie byli w możności reprezentowania interesów ludności." Komitety zaczynają dopiero działać i na rezultaty ich pracy trzeba jeszcze czekać. W każdym razie już teraz uderza szybkość, z jaką nowe instytucye załatwiły cały ogrom powierzonych im spraw: ten sam komitet witebski np. zamknął swe posiedzenia w ciągu 5 dni, z których dwa z górą poświęcił sprawie drogowej, a pozostałe trzy dni niecałkowite użył na rozstrzygnięcie spraw: medycyny ziemskiej i weterynaryi, oświaty ludowej, kosztów utrzymania zarządu do spraw gospodarstwa ziemskiego, poparcia rolnictwa, hodowli koni, utrzymania miejscowych urzędów cywilnych, duchowieństwa, powinności etapowej, podwód, jarmarków i targów, przepisów dla spławiania materyałów leśnych itd.

Obradujące obecnie doroczne zebrania ziemst powiatowych w środkowych guberniach Cesarstwa zostały wezwane do wypowiedzenia się w sprawie zmiany w ordynacyi wyborczej, a mianowicie w określeniu niezbędnego cenzusu, uprawniającego do udziału w wyborach. Otóż, znaczna większość ziemstw uznała za konieczne zmniejszenie dotychczasowych norm cenzusu majątkowego. Niektóre ziemstwa traktowały kwestyę szerzej, omawiając również inne szczegóły obowiązującego prawa. Tak np. moskiewskie zebranie ziemskie uznało, że zasada stanowa obecnej osnowy organizacyi ziemstwa winna być usunięta, że należałoby ją oprzeć na różnorodności majątkowej i związanych z nią interesach poszczególnych warstw ludności, wskutek czego wyborcy powiatu byliby podzieleni na grupy: prywatnych właścicieli ziemskich, wspólnej własności ziemskiej (gminy wiejskie), właścicieli zakładów handlowo-przemysłowych, właścicieli domów i will letnich. Deputatów do gmin powinny obierać zebrania gminne, przyczem wybrani stają się deputatami („głasnyje") przez sam fakt wyboru bez jakiejkolwiek dalszej sankcyi. Udział w zebraniach wyborczych dla prywatnych właścicieli ziemskich i posiadaczy nieruchomości innego rodzaju zależy od pewnego cenzusu majątkowego. Nader żywe rozprawy wywołała kwestya udziału kobiet w wyborach ziemskich. Dotychczas kobiety, posiadające potrzebny cenzus majątkowy, tylko pośrednio mogły brać udział w sprawach ziemstwa, upoważniając do korzystania ze swego cenzusu najbliższych swych krewnych (brata, ojca, syna itp.). Deputat, p. N. Michajłow, zaznaczył, że obecnie, gdy kobiety zajmują posady w ministeryach: morskiem, rolnictwa i sprawiedliwości; odpowiedzialne stanowiska w senacie, w instytucyach dobroczynnych, naukowych i pedagogicznych, należałoby im przyznać prawo do bezpośredniego udziału w zebraniach wyborczych i zjazdach, jak to już zostało przyjęte przez samarskie, nowogrodzkie, smoleńskie i inne ziemstwa. Inni mówcy też dowodzili, że kobiety dostatecznie są obznajmione ze sprawami miejscowemi dzięki swej pracy w zakładach przemysłowo - handlowych, rolnictwie i w instytucyach dobroczynnych; że sprawy ogół obchodzące nie są obce nawet włościankom, które często, w zastępstwie mężów, biorą udział w zebraniach gminnych i wiejskich. Przytaczając te dowody, mówcy domagali się udzielenia kobietom nietylko czynnego, lecz i biernego prawa wyborczego w ziemstwie. Ziemskie zebranie powiatu Moskiewskiego uznało jednomyślnie konieczność zmiany ziemskiej ordynacyi wyborczej w kierunku przyznawania kobietom prawa bezpośredniego udziału w zebraniach wyborczych i zjazdach na równi z mężczyznami, i większością 21 głosów przeciwko 12 wyraziło życzenie udzielenia kobietom i biernego prawa wyborczego w ziemstwie *).

Od r. 1895 włościański Bank ziemski włączył w zakres swych operacyi kupno na własny rachunek posiadłości ziemskich dla parcelacyi i rozprzedaży pomiędzy włościan. Wileński oddział banku włościańskiego w miarę potrzeby i w miarę posiadanej gotówki zamierza nabywać posiadłości w gub. Kowieńskiej dla sprzedaży ich działkami, przeważnie po 30—60 dziesięcin, włościanom rdzennie rosyjskiego pochodzenia, za cenę kosztu. Przesiedleńcom do kraju północno-zachodniego przysługują ulgi taryfowe na kolei itd. Zawiadamiając o tem gubernatora kijowskiego, wileński generał-gubernator zaznacza, że w charakterze kolonistów do gub. Kowieńskiej pożądane są li tylko rodziny włościańskie, godne zaufania pod względem moralnym, osobiście uprawiające rolę i majątkowo uposażone o tyle, by mogły z własnych środków pokryć wydatki przesiedlenia początkowego, zagospodarowania działki i oporządzenia domu oraz uiszczenia pierwszej raty, nie mniejszej od 10% pożyczki, zaciągniętej w banku włościańskim.

Powyższa wiadomość świadczy o tem, że Bank włościański zamierza do swych operacyj dotychczasowych dołączyć i kolonizacyę.

A. Z—a.

*) Memoryał ministeryum spraw wewnętrznych 22 sierpnia 1901 r. — w kwestyi reformy urzędów, kierujących w guberniach nieziemskich sprawami gospodarki ziemskiej.

*) Jak donosi „Agencya Rosyjska Telegraficzna," saratowskie zebranie ziemskie uznało za najbardziej pożądane wybory ogólne, z podziałem tylko na okręgi wyborcze, bez uwzględnienia stanu i cenzusu wyborców i pod warunkiem zrównania stanu włościańskiego w prawach z innymi stanami.

Listy z Francyi.

Paryż, 20 października.

Polscy robotnicy w Paryżu. — Polski Uniwersytet Ludowy w Paryżu.

Żadne bodaj miasto zagraniczne nie ściąga tylu polskich robotników, co Paryż. Z każdym rokiem niemal wzrasta ilość zarówno przybywających z Królestwa, jak z Galicyi, a nawet z Poznańskiego i Śląska. Przyjeżdżają oni zwykle w celu wydoskonalenia się w rzemiośle, poznania świata, a czasami zebrania grosza, aby, powróciwszy do kraju, módz założyć własny warsztat lub zostać co najmniej werkmajstrem albo krajczym.

Najwięcej bezwarunkowo krawców przybywa do Paryża z zamiarem powrotu, tu bowiem zarabiają oni w sezonie 10 lub kilkanaście franków dziennie, pracując naturalnie od sztuki i zabijając się nocami. Sporo jest ślósarzy i mechaników, z których wszyscy prawie starają się pracować w fabrykach samochodów, gdyż tam płaca dzienna wynosi conajmniej 6, nieraz 8 fr. i więcej. Niemało też jest Żydów polskich, zatrudnionych w stolarstwie, tokarstwie, rzeźbiarstwie, czapnictwie, kamasznictwie i galanteryi. Mały nader jest procent w Paryżu robotników polskich z innych zawodów, jak zecerstwo, malarstwo, kotlarstwo, — a najmniej w przemyśle do wyrobu i sprzedaży artykułów spożywczych, jak piekarstwo, rzeźnictwo, cukiernictwo, handel win, restauracye itp.

Jedni przybywają do Francyi po kilkomiesięcznym lub dłuższym pobycie w Wiedniu, Berlinie, Monachium, Genenewie lub Zurychu, inni zaś dostają się tu wprost z kraju. Znakomita ich większość przyjeżdża ze stanowczym zamiarem powrotu do Warszawy po kilku miesiącach lub latach, niestety jednak kończy się zazwyczaj na zamiarach. Paryż jest zbyt ponętny, zbyt niebezpieczny dla umysłów słabych i nierozwiniętych, nadto wiele ma pokus, by polski robotnik nie ulegał im i nie grzązł nad Sekwaną. Iluż to dzielnych polskich robotników, pełnych zapału do życia i energii do pracy zmarnowało się tu, przegrywając na wyścigach ciężko zarobiony grosz, przesiadując całemi wieczorami w kawiarniach, trwoniąc drogocenny czas na plotkowaniu i czczej gadaninie lub szukając rozrywki w café-chantant! A iluż zapomniało o swych dawnych aspiracyach i dąży wyłącznie do zdobycia grosza, założenia w Paryżu własnego warstatu lub handlu, co najmniej do otrzymania posady nadzorcy robotników t. zw. contremaître. Jakżeż mało jest polskich robotników, którzy po kilkoletnim pobycie we Francyi pragnęliby jeszcze szczerze pracować dla kraju, powrócić do ziemi, gdzie się urodzili i wychowali!

Nie ich przecież winić należy. Wszak społeczeństwo polskie, którego synowie wyjeżdżają na obczyznę dla wzbogacenia swej wiedzy i wyrobienia się na dzielnych ludzi, które nawet nieraz pomaga im meteryalnie — nie myśli, nie troszczy się wcale, czy polski robotnik znajdzie w wielkich miastach jak Paryż ognisko, gdzie czułby się niby u siebie wśród swych bra-

ci po heblu lub dłucie, gdzie mógłby kształcić swój umysł, rozwijać energię, znaleźć szlachetną rozrywkę i tą złotą nicią być wciąż związany z krajem.

Mamy wprawdzie w Paryżu kilka polskich towarzystw, ale pomimo wielu prób i usiłowań, nie mogły one, a raczej nie chciały pozbyć się podkładu i charakteru politycznego, a więc stronniczości służenia pewnej grupie ludzi, związanych ściśle jakiśm programem. Z tej też przyczyny ledwie wegetują, niezdolne przyciągnąć i utrzymać tutejszych polskich robotników. Oddawna więc już w Paryżu mocno dawała się odczuć potrzeba utworzenia jakiegoś trwałego bezpolitycznego ogniska dla robotników mówiących po polsku. Po długich trudach i wielu przeszkodach powstało nareszcie takie ognisko p. n. „Polskiego Uniwersytetu Ludowego.“ Mieści się on w dzielnicy robotniczej św. Antoniego i organizacyą swą zbliżony jest do francuskich uniwersytetów ludowych.

Artykułami zasadniczemi, nie podlegającemi zmianie są:

1) Celem P. U. L. jest stworzyć w Paryżu ognisko, w którem robotnicy mówiący po polsku mogliby w wolnych chwilach zbierać się dla wzajemnej wymiany myśli, kształcenia się, słuchania wykładów, zasięgania pożytecznych wiadomości, oraz dla rozrywki.

2) P. U. L. nie może należeć do organizacyi politycznej, przyjmować udziału w manifestacyach, urządzać zebrań w celu protestowania lub uchwalania jakichś rezolucyj z wyjątkiem spraw, tyczących się specyalnie jego interesów.

To wyraźne zaznaczenie, że P. U. L. chce stać po za stronnictwami politycznemi i że idzie mu przedewszystkiem o wykształcenie i rozwój robotników — z jednej strony zjednało mu wielką sympatye wśród pracowników, którzy stronią od politykowania i wynikających stąd waśni, lecz z drugiej strony nie mogło się podobać zwolennikom narzucania jakiegoś programu i urabiania ludzi na jednostronnych sekciarzy.

Na pierwszych zebraniach organizacyjnych zapisało się odrazu trzydziestu kilku robotników, a dziś po dwóch tygodniach istnienia P. U L. należy doń przeszło 80-u, co na tutejsze stosunki w kolonii polskiej jest rzeczą niebywałą. Niektórych zachęciła też świadomość, że to pierwsza polska instytucya, która, nie mając nic wspólnego z filantropią lub pomocą materyalną — została jednak ulegalizowana. Na mocy bowiem prawa o stowarzyszeniach z r. 1901 złożono w prefekturze dwa stemplowane egzemplarze ustawy, jako też nazwiska kierowników instytucyi, za co po odpowiedniem ogłoszeniu w *Journal officiel* Polski Uniwersytet Ludowy w Paryżu uzyskał prawo urządzania odczytów wykładów i zabaw, przyjmowania opłaty od członków, jak również ofiar i zapisów skądkolwiek pochodzących. Rozwiązanie P. U. L. może nastąpić tylko na mocy dekretu rady ministrów, a przyczyną tego może być jedynie zbrodnia stanu.

Wbrew złowieszczym przepowiedniom przeciwników P. U. L. wzięto się z energią i zapałem do urzeczywistnienia projektu, opracowanego w miesiącu lipcu r. b. Inauguracya nastąpiła d. 4 października wobec 150 osób, urozmaicona odpowiedniemi przemowami, deklamacyą i śpiewem, a nazajutrz zawrzało już życie i praca.

Żadne stowarzyszenie lub instytucya polska (z wyjątkiem naturalnie Biblioteki Orleańskiej, Szkoły Batiniolskiej i Zakładu św. Kazimierza) nie miały tak obszernego i wygodnego lokalu. Na dole, z wejściem od ulicy i podwórza znajduje się salka, przeznaczona na wykłady; może ona pomieścić do 100 osób, w dzień duże okna dają dostateczną ilość światła, wieczorem oświetlona jest dwoma lampami gazowemi, nad wejściem, od ulicy widnieje latarnia acetylenowa z napisem P. U. L. Ściany sali wykładowej zdobią ryciny, mapy i tablice anatomiczne; obok ogłoszeń o wykładach mieści się regulamin, w którym na wstępie zaznaczono, że członkowie nie powinni zapominać, iż P. U. L. nie jest własnością żadnej jednostki, ani też grupy, przeto opieka nad sprzętami i pismami, przestrzeganie porządku i spokoju powierza się samym członkom, a każdy winien mieć na celu dobro i pożytek ogółu członków. Na katedrze, przeznaczonej dla prelegenta, stoi pianino, dostarczające rozrywki na zebraniach niedzielnych. Po nad salą wykładową mieści się pokój gospodarza lokalu i czytelnia, posiadająca już 20 pism, w znacznej części, jak dotychczas, wypożyczanych, darmo bowiem otrzymują jedynie *Ogniwo*, *Gazetę Świąteczną*, *Bluszcz* i *Kuryer Poranny*. Obok czytelni mały pokoik służy na pomieszczenie szafy bibliotecznej, a w poniedziałki wieczorem staje się gabinetem lekarskim, w którym udziela porad dr. Pożerski. Biblioteka, zapoczątkowana przez zacnego prof. Radlińskiego, powoli zaczyna się wzbogacać nadsyłanymi darami. Lokal ten mieści się w oddzielnym pawiloniku w pasażu Raucha nr. 3, w dzielnicy warsztatów stolarskich, nie mąci więc spokoju czytelników i słuchaczy ani gwar uliczny, ani turkot powozów. Najęty został w stanie nader opuszczonym i z tej racyi za małą cenę 600 fr. rocznie. Trzeba go było z gruntu oczyścić, wyreparować i pomalować, a na to wszystko posiadano jedynie dobrą wolę, zapał i energię robotników. Dzięki im, zebrano małe składki, otrzymano bezterminową pożyczkę na drzewo, farby, pędzle itp., a zresztą sami robotnicy wzięli się do dzieła. Jeden obił materyałem ściany sali wykładowej, drugi pomalował sufity, trzeci okna i drzwi, inni zrobili estradę, ławki, stoły — słowem, z rudery opuszczonej uczynili ognisko czyste i schludne. Jest to fakt rzadko widywany wogóle, a w dziejach kolonii polskiej niebywały. Już to samo świadczyć może o racyonalności bytu instytucyi, wróżyć jej dobrą przyszłość, że usiłowania jednostek nie pójdą na marne.

Codzień po robocie zamiast wałęsać się po mieście lub knajpach, zamiast marnować czas na czczą gadaninę, robotnicy przychodzą do czytelni, zbierają się w liczbie 30 do 40 na odczyty, a po kilkunastu na lekcye języka francuskiego, polskiego, rysunków i śpiewu chóralnego.

Komisya wykładowa P. U. L. będzie się starała, ażeby odczyty stanowiły o ile można pewien ciąg, całokształt pojęć z danej dziedziny; a więc z nauk przyrodzonych „o ewolucyi człowieka“ będą cztery wykłady, z hygieny popularnej sześć wykładów, z ekonomii politycznej sześć wykładów itp. Odczyty, począwszy od 8 października, odbywają się co czwartek i sobotę od 8-j do 10-ej, po każdym odczycie wywiązuje się dyskusya, co zmusza słuchaczy do uwagi i zastanowienia.

Prócz wykładów i odczytów P. U. L. urządza dla swych członków zwiedzanie muzeów i wystaw, wycieczki zamiejskie, porady hygieniczne i prawne, oraz udziela wskazówek co do wyszukania pracy. W niedziele bywają wieczorki towarzyskie, urozmaicone muzyką i deklamacyą samych członków. Dwa razy zaś na miesiąc po południu mają być urządzane zabawy i przedstawienia dla dzieci polskich, deklamacye, śpiewki, obrazy niknące, do czego służyć będzie ofiarowana na użytek P. U. L. latarnia magiczna.

Słowem, przybyła kolonii polskiej w Paryżu wielce pożyteczna instytucya, przeznaczona niemal wyłącznie dla klasy pracującej, która pragnęłaby kształcić swój umysł, rozszerzać swe horyzonty, a jednocześnie znaleźć szlachetną rozrywkę. W samym Paryżu zjednała ona sobie wielką sympatyę wśród robotników, potrafiła już ściągnąć takich ludzi, którzy dotychczas nie chcieli należeć do towarzystw polskich, zabarwionych polityką i wiecznie wojujących z sobą. Pomimo więc przeciwników, nieumiejących wznieść się ponad osobiste sympatye i programy, P. U. L. powstał w Paryżu, urządził się i żyje dziś w całej pełni. Inicyatorom i kierownikom tej nowej instytucyi nie zbraknie pewnie energii, zapału i wytrwałości. Jeśliby miała rozbić się i upaść, to nie pod ciosami nieprzychylnych, lecz dla braku środków materyalnych; trudno bowiem liczyć na utrzymanie wyłącznie ze składek członków, którzy czasem pracy znaleźć nie mogą, instytucyi, której roczny budżet będzie wynosił do 1,200 fr. Spodziewać się jednak należy, że macierzyste społeczeństwo polskie przyjdzie tu z pomocą i wszelkich sił dołoży, aby przyczynić się do rozwoju i utrwalenia bytu Polskiego Uniwersytetu Ludowego w Paryżu.

Dr. Józef Zieliński.

Międzynarodowa ochrona pracy.

Pisaliśmy w swoim czasie o powstaniu międzynarodowego stowarzyszenia ochrony pracy, które było pozytywnym owocem obrad kongresu, odbytego w tej sprawie podczas wystawy w Paryżu w r. 1900. Prawie we wszystkich państwach europejskich powstały sekcye stowarzyszenia, w Bernie szwajcarskim zaś utworzone zostało międzynarodowe biuro pracy pod kierunkiem prof. Stefana Bauera, które od kilku rządów otrzymuje, choć niewielkie, subwencye. Cel stowarzyszenia i biura jest zarówno naukowy, jak praktyczny. Przedewszystkiem, śledzi ono rozwój i postępy prawodawstwa pracy we wszystkich państwach kuli ziemskiej i notuje je systematycznie w nieperyodycznie wydawanym: „Bulletin des internationalen Arbeitsamtes“ (tekst niemiecki i poczęści francuski, wydawca Fischer w Jenie). Następnie, sekcye krajowe urządzają ankiety i wogóle badania nad stosunkami robotniczymi i przez wykazywanie istniejących nadużyć i braków usiłują wpłynąć na dalszy rozwój prawodawstwa pracy w danem państwie. Najruchliwszą jest, trzeba przyznać, sekcya niemiecka, która posiada też własny organ, *Die Soziale Praxis*, tygodnik. Lecz to jeszcze nie wyczerpuje zadania stowarzyszenia międzynarodowego. Powstało ono bowiem po to przedewszystkiem, aby z jednej strony — prowadzić w zakresie prawodawstwa pracy badania *porównawcze* dotyczące wszystkich państw; powtóre, żeby na podstawie tych badań dążyć do międzynarodowego prawodawstwa do międzypaństwowych traktatów, któreby miały za przedmiot prawodawstwo fabryczne, tak jak np. konferencya brukselska r. z. uregulowała prawodawstwo wielu państw w sprawie produkcyi i wywozu cukru.

Stowarzyszenie międzynarodowe, zarówno jak sekcye krajowe, składają się z ludzi, należących do najrozmaitszych stronnictw; ale z natury rzeczy podstawą ich współdziałania jest dążenie praktyczne do reform najbliższych. Chcąc rzeczywiście osiągnąć jakieś namacalne rezultaty, skłonić rządy do zawarcia podobnych traktatów, stowarzyszenie musi ograniczać na razie swoje wysiłki do pewnych tylko kwestyj, najbardziej dojrzałych do rozwiązania, najbardziej palących, i przy stawianiu swych żądań musi się ono liczyć ze stanem prawodawstwa w państwach najmniej pod tym względem rozwiniętych, nie domagać się za dużo, gdyż w takim razie państwa te nie byłyby skłonne do zawierania traktatów

międzynarodowych. Stanowi to uciążliwy, nujący balast w działalności towarzystwa; z drugiej jednak strony trzeba przyznać, że gdyby udało mu się osiągnąć choć jakie takie międzynarodowe traktaty, to oddziałałoby korzystnie i na rozwój prawodawstwa pracy w krajach już bardziej pod tym względem posuniętych: w tych krajach bowiem kapitaliści zwalczają wszelkie usiłowania w kierunku nowych reform — argumentem, przeważnie zresztą niesłusznym, ale mimo to chętnie słuchanym, że przemysł krajowy, „obciążony“ prawodawstwem fabrycznem, ma utrudnioną konkurencyę z przemysłem tych krajów, gdzie prawodawstwo ochronne nie istnieje jeszcze wcale, albo stoi na znacznie niższym stopniu.

Z pomiędzy takich kwestyj robotniczych, najbardziej dojrzałych do rozwiązania i najbardziej palących, stowarzyszenie wybrało dwie: pracę nocną kobiet oraz używanie w przemyśle szkodliwych dla zdrowia materyałów: fosforu białego i bieli ołowianej. Zajmowano się niemi na zjeździe stowarzyszenia, zeszłej jesieni w Kolonii: biuro berneńskie ogłosiło dwa grube tomy, zawierające starannie opracowane sprawozdania faktyczne i wnioski wszystkich sekcyj krajowych o tych kwestyach. Zjazd koloński polecił następnie osobnej komisyi obmyślenie wniosków i dalszych kroków w celu międzynarodowego rozwiązania tych spraw.

Komisya zebrała się we wrześniu r. b. w Bazylei na wspólne posiedzenie. Każda z sekcyj krajowych: francuska, niemiecka, austryacka, holenderska, belgijska, włoska, szwajcarska, wysłała dwóch delegatów; w ich liczbie znajdowali się dwaj byli ministrowie handlu: pruski, Berlepsch, i francuski, Millerand. Prócz tego jednak i rządy wymienionych państw wysłały na posiedzenie komisyi swych oficyalnych przedstawicieli, co zdaje się wróżyć jej usiłowaniom pewne powodzenie. Jednakowoż rząd niemieckich oficyalnego przedstawiciela nie przysłał. Natomiast tę przyjemność zrobiła sobie Stolica Apostolska; skoro nie dopuszczono jej do konferencyi pokojowej w Hadze, więc przynajmniej na tem polu podtrzymuje złudzenie swej państwowości, korzystając z grzeczności międzynarodowego stowarzyszenia, dla którego ta sprawa jest obojętna, i z milczenia rządu włoskiego, który tę demonstracyę uważa słusznie za zbyt mało ważną. Dlatego to hr. Soderini mógł uroczyście zapewnić stowarzyszenie o życzliwości nowego papieża, Piusa X... Jeśli mu to nie pomoże, to przecie może nie zaszkodzi!

Co do białego fosforu, to komisya stwierdziła i uznała za dowiedzione, że jest on bezwzględnie szkodliwy dla zdrowia robotników (powoduje mianowicie straszną nekrozę, próchnienie szczęk itd.) i że żadne ostrożności, stosowane podczas fabrykacyi, temu szkodliwemu wpływowi zapobiedz nie są w możności; nawet najdoskonalsze maszyny tu nie wystarczają, a przytem są one zanadto kosztowne. Jedynie zupełny zakaz używania białego fosforu może zaradzić złemu, a domagać się go należy tembardziej, iż materyał ten, jak dowiedziono, da się we wszystkich swych zastosowaniach zastąpić przez inne; przytem należy oczywiście baczyć, aby go nie zastąpiono takimi, które są dla zdrowia szkodliwe albo niebezpiecznie wybuchowe. Dania, Finlandya, Holandya, Szwajcarya, ostatnio Francya i Niemcy weszły też na drogę zupełnego zakazu używania białego fosforu. Komisya ma nadzieję, że i inne państwa pójdą za tym przykładem; spodziewa się jednak trudności pod tym względem ze strony Rosyi i Japonii, a to dlatego, że w tych krajach nizka technika fabrykacyi zapałek utrudnia wyrzeczenie się białego fosforu. Jednakowoż komisya uważałaby za rzecz doniosłą pod względem zasadniczym, gdyby przynajmniej państwa, które już zakazały u siebie używania białego fosforu, zobowiązały się *wzajemnie* zakazu tego nigdy nie znieść. Trzeba istotnie przyznać, że komisya ma bardzo skromne pragnienia...

Co do bieli ołowianej, to nawet komisya międzynarodowego stowarzyszenia ochrony pracy nie uważa jej za przedmiot, nadający się do traktatów międzynarodowych. Rzemiosło malarskie i lakiernicze nie jest jeszcze wciągnięte w wir konkurencyi międzynarodowej. Tu więc komisya wkłada tylko na sekcye krajowe obowiązek wpływania na swe rządy, aby zakazały używania tej farby zabójczej, dającej się doskonale zastąpić innemi, oraz zwróciły wogóle uwagę na szkodliwy wpływ ołowiu i w innych gałęziach przemysłu, jak drukarnie itp.

Największą wagę przywiązuje komisya do zakazu nocnej pracy kobiet w przemyśle. Nie zajmując się, dla uproszczenia kwestyi, kelnerkami i pomocnicami handlowemi, których położenie, zarówno jak warunki istnienia danych gałęzi pracy, są odmienne, komisya w interesie rodziny robotniczej, zdrowia samej robotnicy i przyszłych pokoleń, uznała za rzecz niezbędną, a zarazem technicznie i ekonomicznie możliwą, aby nieprzerwany odpoczynek nocny dla robotnic wynosił przynajmniej 12 godzin, przyczem wypowiedziała się przeciwko robieniu pod tym względem różnicy między robotnicami zamężnemi a niezamężnemi, gdyż i w tych ostatnich trzeba ochraniać przyszłe matki, i ponieważ różnica taka ogromnie by zaszkodziła zamężnym przy szukaniu pracy. Tu jednak komisya przewiduje wielkie trudności, bo jej żądanie dotychczas urzeczywistnione jest jedynie w dwóch państwach: Nowej Zelandyi i stanie New-Jersey; inne, o ile zapewniły robotnicom odpoczynek nocny, to tylko 8—11-godzinny. Niechby więc na razie zgodzono się choćby na przejściowe *minimum* 10 godzin! Przytem jednak nasuwa się zaraz kwestya wyjątków, których domagają się nietylko gałęzie produkcyi, istotnie ich potrzebujące, jak np. konserwowanie ryb lub owoców, wogóle materyałów surowych, które zjawiają się nagle w wielkiej ilości i mogą się zepsuć w razie przerwania pracy. Że takie gałęzie produkcyi wyjątków doraźnych koniecznie potrzebują, na to się komisya z łatwością zgodziła. Ale wyjątków domagają się też natarczywie i t. zw. przemysły sezonowe, głównie krawiectwo damskie, którego przedstawiciele powołują się na nadzwyczajny napływ zamówień w pewnych chwilach. Tu po przeprowadzonej dyskusyi komisya doszła do przekonania, że należy odmawiać wszelkich wyjątkowych, czasowych pozwoleń na nocną pracę kobiet; przykład Szwajcaryi, która właśnie tej zasady się trzyma, dowodzi, że tak bezwzględny zakaz działa wychowawczo na publiczność, która przyzwyczaja się robić zamówienia zawczasu, a nie sezonowo.

Sformułowawszy w ten sposób swe żądania, komisya w celu ich urzeczywistnienia uchwaliła rezolucyę, wzywającą biuro stowarzyszenia międzynarodowego, żeby wystosowało do rządu szwajcarskiego prośbę o zwołanie konferencyi dyplomatycznej, którąby rozpatrzyła kwestyę białego fosforu oraz nocnej pracy kobiet i może doprowadziła do traktatu państw, do wzajemnego zobowiązania zakazu tych szkodliwych rzeczy. Rząd szwajcarski prawdopodobnie wezwania usłucha; rozwiązanie tych kwestyj w duchu wyżej określonym jest bezwątpienia potrzebne i życzyć należy, żeby jak najprędzej nastąpiło; lecz pomimo to mamy poważne wątpliwości co do powodzenia sprawy. Czy rządy przyjmą zaproszenie Szwajcaryi? a jeśli nawet konferencya dojdzie do skutku, to czy przyniesie pożądane traktaty? Już obrady komisyi dają przedsmak przyszłych przeszkód. Oto np. delegat belgijski, prof. Brants, dowodził, że tkactwo belgijskie może wyrzec się pracy nocnej kobiet tylko w tym wypadku, jeśli Niemcy zniosą cło na jego produkty. A delegat holenderski, poseł Talma, wysunął zasadniczą kwestyę: gwarancyj wykonania przez państwa przyszłego traktatu! Istotnie, jak państwa mają kontrolować się wzajemnie co do wykonania powziętych zobowiązań? Gorsze zaś ich wykonywanie mogłoby wpłynąć w pewien sposób na warunki konkurencyi. Teoretycznie rzecz biorąc, sposoby by się znalazły: konferencya brukselska przewidziała nakładanie ceł zakazujących na cukier z tych krajów, któreby udzielały premij w sposób pośredni czy ukryty; możnaby podobnym środkiem zagrozić państwom, źle wykonywającym zakaz używania białego fosforu lub nocnej pracy kobiet. Tylko... że na to nikt się nie zgodzi.

Idea międzynarodowego prawodawstwa pracy wypływa całkiem logicznie z warunków życia współczesnego; ale urzeczywistnienie jej napotyka jeszcze przeszkody niezwalczone...

K. Radosławski.

Włodzimierz Brodowski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE)

Prof. dr. Włodzimierz Brodowski należał do schodzącego już dziś z pola pokolenia pierwszych profesorów medycyny warszawskiej. Urodzony w 1823 roku, ukończył wydział lekarski w Moskwie w 1849 r.

Po rocznej asystenturze w klinice położniczej prof. Richtera, praktykował przez kilka lat na Ukrainie i dopiero w 1855 r. udał się na dłuższy czas na studya za granicę do Wiednia, Würzburga i Paryża. Rok 1861 zastaje Brodowskiego w Warszawie na stanowisku młodszego ordynatora szpitala Ujazdowskiego; z prac ówczesnych notujemy pierwszą publikacyę w polskim języku p. t. „O ważniejszych kwestyach, zapalenia płuc dotyczących.“ Wkrótce potem Brodowski powołany został na stanowisko adjunkta przy katedrze anatomii patologicznej Cesarsko-królewskiej akademii medyko-chirurgicznej, otworzonej w Warszawie w 1857 r. Pedagogiczną swą działalność zainaugurował Brodowski 7 lutego 1862 r. wykładem wstępnym o zadaniach anatomii patologicznej i jej stosunku do innych umiejętności lekarskich; od tego czasu praca ta ciągnęła się nieprzerwanem pasmem aż do chwili ustąpienia z katedry w 1897 r. Wykłady prof. Brodowskiego cechowało zawsze niezmierne bogactwo szczegółów i prawdziwie głęboka wiedza, były one może zbyt trudne dla przeciętnego słuchacza, ale dla dostatecznie przygotowanych była to prawdziwa kopalnia wiedzy.

Obok zajęć pedagogicznych Brodowski, zwłaszcza w pierwszych okresach swej profesury, pracował gorliwie nad anatomią patologiczną; ogólna cyfra prac ogłoszonych przez niego wynosi 120. W r. 1869 Brodowski po raz pierwszy wybrany został na dziekana wydziału lekarskiego; od tego czasu koledzy ponawiali ten wybór co 3 lata przez 18 lat z rzędu. Nadto prof. Brodowski był przez 7 lat prezesem Towarzystwa lekarskiego, oraz oddawna prezesem wydziału lekarskiego Warsz. Tow. Dobr., a później nawet naczelnym jego prezesem.

Stosunek prof. Brodowskiego do studentów cechowała przedewszystkiem nieugięta sprawiedliwość oraz nieprzeparty wstręt do nieuctwa. Na pierwszy rzut oka był on szorstki i sztywny, w gruncie rzeczy jednak kierował się najlepszemi chęciami,

był dobry, pamiętał o potrzebach każdego i wchodził w położenie młodzieży.

Gorliwa i sumienna praca pedagogiczna i naukowa przyniosła prof. Brodowskiemu cały szereg odznaczeń ze strony kolegów i towarzystw naukowych. Był on członkiem krakowskiej Akademii nauk, prezesem zjazdu lekarzy i przyrodników w Warszawie w 1870 r., członkiem honorowym Towarzystw lekarskich w Warszawie, Petersburgu, Płocku, Lublinie i Kaliszu; nadto przez czas dłuższy piastował w warsz. Tow. lekarskiem najwyższą godność sekretarza dożywotniego.

Życie całe wypełniała mu praca sumienna i głęboka. Serce miał prawe, gorące i szlachetne, umysł szeroki i jasny, wielkie poczucie obowiązku i wielką miłość nauki. Społeczeństwo swoje i ludzkość kochał i służył im, dopóki sił starczyło. W życiu był skromny i prosty.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Rzym opuścił Polaków.

Z powodu ogłoszonej, zaprzeczonej, potwierdzonej i na różne sposoby wykręconej wiadomości, że arcybiskup poznański nakazał alumnom seminaryum uczęszczać do nowootworzonej, germanizacyjnej „akademii,“ gazety nasze z komicznem westchnieniem powtarzają: „Rzym opuścił Polaków.“ Ależ kochani markotnicy, to nastąpiło już dawno, jeżeli nie przed setkami lat, to co najmniej od wstąpienia na tron „wielkiego“ papieża Leona XIII, który pocichu błogosławił całej bismarkczyznie. *Prawda* wam to mówiła ciągle i dowodnie, wy wszakże wysilaliście cały swój rozum na to tylko, jakby ją zniesławić za „odbieranie społeczeństwu religii,“ za „nienawiść przeciwko kościołowi katolickiemu,“ za „fanatyzm niedowiarstwa“ itd. Dopóki pozostaniecie na tym nizkim poziomie rozwoju umysłowego, w którym *każdy* ksiądz jest „czcigodnym kapłanem,“ a *każdy* papież „ojcem świętym i kochającym (szczególnie) nas,“ dopóty ciągle będziecie mieli takie zawody i spostrzegali wtedy dopiero, że „Rzym opuścił Polaków“ w Niemczech, kiedy Koppowie zaczną ich uderzać maczugą, a odezwy do Watykanu będą miały ten skutek, co przysłowiowe „przemówienie chłopa do obrazu, który mu nie odpowiedział ani razu.“ Zresztą doprawdy należałoby się dziwić „Rzymowi,“ gdyby on sobie robił ceremonie z tak pokorną trzódką, którą można ostrzydz, poturbować, zapędzić dokąd się podoba, a ona beczeć będzie czułe hymny na cześć dobrego pasterza. Przypuszczamy też, że złośliwy uśmiech, który nigdy nie schodził z ust Leona XIII, był odbiciem jego szyderstwa i pogardy dla naszych baranów, a poważny wyraz na twarzy Piusa X jest znakiem smutku nad ich... mądrością.

O ludzie.

Dr. F. Koneczny skończył w *Bibliotece Warsz.* swą pracę o „konserwatyzmie chłopskim.“ I w tej części znajdujemy dużo objaśnień gruntownych i uwag trafnych, ale także dużo paradoksów bardzo wątpliwej wartości. Według autora „*pierwszy* dopiero Ł. Górnicki spostrzegł, że mogą być w Polsce piękne widoki,“ nie dziw też, że „wieśniak zgoła niemal całkiem nie ma poczucia piękna przyrody.“ Trzeba na to rzeczywiście nadzwyczajnej zarozumiałości wiedzy, ażeby nawet przypuszczalnie stwierdzić, kto „pierwszy spostrzegł“ piękno w widokach jakiegoś kraju, trzeba dziwnej domyślności, ażeby ten wypadek odnieść do późnego stosunkowo okresu życia narodu, trzeba wyjątkowej pewności siebie, ażeby jakiemuś ludowi odmówić poczucia estetycznego wobec natury. Dr. K. przeczy również, ażeby kultura chłopska miała być samorodną i również stanowczo utrzymuje, że „od XVIII wieku nie oddziaływały u nas *nigdy* warstwy społeczne niższe na wyższe, lecz rozwój społeczny odbywał się *wyłącznie* przez wpływ z góry.“ Pominąwszy nieliczne jednostki, lud nasz, zdaniem autora — jest *strasznie* zmateryalizowany; „więcej niż połowę“ winna temu nędza. Gdy mu się poprawią warunki życia, jest on pohopnym do postępu; to też nie można lepiej oddziałać na jego rozwój umysłowy, niż powiększając jego dobrobyt. Godne uwagi są następujące słowa: „Nie istnieje osobny postęp w warstwie wieśniaczej, a osobny w innych; a stąd wniosek, że nie może istnieć jakaś osobna oświata ludowa. Może być tylko oświata ogólna, czyli popularyzowanie wiedzy... Starania o oświatę ludową szwankowały nadzwyczaj przez to, że się uważało wieśniaka za jakiś osobny gatunek człowieka, do którego trzeba przemawiać, jakby do dziecięcia. Boki nieraz można zrywać ze śmiechu, czytając elukubracye, zwane książkami dla ludu.“

Pomimo wielu twierdzeń bardzo ryzykownych lub całkiem nieugruntowanych, rozprawka dr. K. jest przyczynkiem poważnym i nie powinna przesunąć się niepostrzeżenie około naszego dyletantyzmu ludowego rozmaitych barw i odcieni. Kilka w niej strumieni chłodnej wody może dobroczynnie oddziałać na głowy zgorączkowane fanatyzmem bezkrytycznych uniesień w przyjaznym i nieprzyjaznym kierunku.

Projekt z powietrza.

Doświadczenia, zebrane z kas oszczędności, założonych przy szkołach, wykazały, że tylko 25% uczniów przyjęło w nich udział i że były to prawie wyłącznie dzieci rodziców zamożnych. Ten bardzo naturalny wynik dał gazetom rosyjskim podstawę do zupełnie słusznego wniosku, że kasy chybiają celu. Innego zdania jest *Goniec* warszawski, który broni ich i zachęca „rodziców do wnoszenia za ich dzieci stałych składek miesięcznych, któreby odebrane po kilku latach stanowiły większy fundusik na pierwsze potrzeby młodzieńca, stawiającego samodzielny krok w życiu.“

Pochwalić to należy *Gońcowi*, że w swej ekonomicznej trosce pominął dzieci ubogie i nie kazał im robić oszczędności z pustego woreczka. Ale nawet jego odezwa zwrócona w inną stronę nie może się spodziewać pożądanego skutku. Bo naprzód jeśli rodzice mają wnosić składki za swe dzieci, to chyba pierwsi a nie drugie kształcić się będą w cnocie gromadzenia „fundusików,“ co znowu nie należy do zadań szkoły i co bez niej dokonać można zapomocą zwykłych kas oszczędnościowych. Powtóre — rachujmy. Przypuśćmy, że co miesiąc wpłynie rubel — czyli przez rok szkolny 10 rb. — czyli przez 8 lat kursu gimnazyalnego 80 rb. Zapewne jest to „coś“ i „taki fundusz się przyda“ „stawiającemu pierwszy samodzielny krok w życiu.“ Ale pytanie, ile rodziców zamożnych zechce składać przez 8 lat tę drobną sumkę, która w ich rozchodach ma bardzo małe znaczenie i która ich synowi nie wystarczy nawet na opłacenie wpisu w wyższej instytucyi naukowej?

Zdanie nasze tedy zarówno w tej, jak w podobnych sprawach jest takie: chcąc przerobić i udoskonalić życie, trzeba uważnie przypatrywać się jego naturze i rozwojowi, a nie łapać z powietrza projektów, które bez pożytku marnują czas autorski i atłas drukarski.

Porównanie.

W Ameryce:

„Niejaki p. Hubbel zapisał 5 mil. dolarów stanowi Iova na budowę uniwersytetu w mieście Des Moines.“

„Profesor górnictwa ofiarował uniwersytetowi Yale 300,000 dol. na utworzenie laboratoryum metalurgicznego.“

„Uniwersytet w Chicago otrzymał od różnych osób 300,000 dol. na badania archeologiczne w Egipcie i Babilonii.“

„Świeżo zmarły bogacz Astolf zapisał 24 mil. dolarów ne instytucye naukowe.“

U nas:

„Czcigodny i powszechnie szanowany obywatel Mikołaj Strominski zapisał 5,000 rubli na kościół i 3,000 rb. na msze, które mają być odprawiane w każdą rocznicę jego śmierci.“

„Znakomity śpiewak i właściciel stajni wyścigowej, p. Reszke, zbudował wielkim kosztem przy swej willi w Paryżu teatr prywatny, który będzie otworzony operą umyślnie dla niego napisaną przez kompozytora amerykańskiego.“

Przysłowie łacińskie nie pozwala bez zastrzeżeń porównywać rzeczy małych z wielkiemi, więc też w powyższem zestawieniu nie chodzi nam o różnicę ilościową, lecz jakościową. Nikt u nas milionów rubli na cele naukowe nie zapisze, bo takich bogaczów posiadamy zaledwie kilkunastu, ale chodzi o to, że jesteśmy egoistami za życia i po śmierci. Za życia chcemy mieć wygodę i dostatek, a po śmierci ubezpieczamy swoją duszę od pokuty w czyścu. Roztropne i przezorne z nas samoluby — nie tak, jak głupi yankiesi, którzy najedzą się dobrobytu, nagromadzą skarbów przez kilkadziesiąt lat, a potem przez całą wieczność smażą się w smole na djabelskich widłach. Nadto my, i tylko my w całym świecie zrozumieliśmy tę wielką prawdę, że jeśli zbudujemy dosyć kościołów i teatrów, to z innych instytucyj możemy sobie kpić. Niech je sobie wznoszą niedowiarki i bałwany.

Defilada.

Bez przesady rzec można, że przez prasę naszą w ciągu roku przedefiluje cała ludność warszawska, ogłoszona z imion i nazwisk. Prosimy tylko zliczyć: wszystkich tych, którzy cokolwiek napisali, namalowali, wyrysowali lub wyrzeźbili, wszystkich wydawców i drukarzy, wszystkich występujących na scenie i estradzie, wszystkich członków zarządów i komitetów, wszystkich właścicieli stajen, wszystkich odznaczonych cyklistów i wioślarzy, wszystkich kwestujących panów i panie, wszystkich kupców, którzy ze sprzedaży odstępują rabaty na cele dobroczynne, wszystkich uczestników konkursów, wszystkich kończących szkoły, wszystkich zamieszczających ogłoszenia w kalendarzach gazet, wszystkich, którzy rozwiązali szarady, wszystkich, którzy przystąpili do spółki węglowej, wszystkich mówców na zebraniach towarzystw, wszystkich „czcigodnych kapłanów,“ wszystkich, którzy obchodzą srebrne i złote wesela, wszystkich składających ofiary pieniężne zamiast powinszowań i wieńców pogrzebowych, wszystkich adwokatów, którzy bronią „ciekawych spraw,“ wszystkich doktorów, którzy leczą znane osoby lub wykonywają rzadkie operacye, wszystkich projektowiczów, wszystkich oszustów, złodziejów, nożowników i zabójców — zliczmy te i inne jeszcze gromady, a przekonamy się, że ich suma ogólna wyczerpie całą ludność Warszawy i że jest prostem niepodobieństwem, ażeby jakikolwiek jej mieszkaniec nie dostał się do prasy. Żaden chyba naród nie zastosował tak bezwzględnie równości

swych obywateli wobec publicznego rozgłosu i w żadnym ci obywatele nie mają większego obowiązku popierania pism, które ich tak skrupulatnie wyprowadzają na widownię społeczną. Czytelniku, zastanów się, czy mógłbyś odmówić kilku rubli rocznie na prenumeratę dziennikowi, który opowie światu, jak „siedzisz pod kasztanem“ lub uwieczni twe nazwisko, gdy odgadłeś szaradę? Musiałbyś mieć serce z kamienia i być dziwnie obojętnym na swą własną chwałę.

Rozmowa autentyczna.

— „U nas w Galicyi, proszę państwa, straszne rzeczy, co za zamieszanie! Najróżnorodniejsze prądy wichrzą w społeczeństwie, mącą spokój i porządek. — A któż najwięcej mąci?— Ludowcy! Byłem umyślnie na zebraniu chłopskiem, na którem miał przemawiać p. Stapiński, chłop także, który tylko dwie klasy skończył. Chciałem się z blizka przyjrzeć, co się też na takich zebraniach dzieje. A jakże, bardzo ciekawych dowiedziałem się rzeczy. „Panowie bracia — powiedział p. Stapiński— szlachta chce na nowo wprowadzić pańszczyznę, chce wam zabrać wszystko i w niewolę was zaprządz, ale wy pamiętajcie, że ziemia i lasy są wasze, że ten cały kraj do was należy.“ — Tak ich pouczał p. Stapiński; możeby drugiej rzezi galicyjskiej nie był nawet od tego. Ja, jak państwo wiecie, urodziłem się i wychowałem w Królestwie, ale ożeniłem się z galicyanką i z żoną wziąłem majątek ziemski w Galicyi, gdzie już od kilkunastu lat gospodarzę. Na mojej ziemi jest spory szmat lasu, prawie jedynego w całej okolicy. Wszyscy chłopi z sąsiedztwa w opał zaopatrują się u mnie, i gdybym ja nie sprzedawał, musieliby po drzewo jeździć bardzo daleko, albo zgoła obyć się bez niego. Otóż, proszę państwa, wkrótce po tem zebraniu zaczynają się zgłaszać po drzewo — nie sprzedaję; przychodzą całą gromadą — wyszedłem do nich na ganek: „Panowie bracia — powiadam do nich grzecznie — drzewa potrzebujecie? I owszem, przecież to wasze; ziemia i lasy — wszystko wasze. Możecie brać darmo. Ja dam, tylko mi przynieście asygnacyę od p. Stapińskiego; inaczej nie dostaniecie. Oni w prośby; ja nic, tylko swoje: przynieście asygnacyę. Błagali, skamłali — ani kawałeczka nie sprzedałem, ani jednej gałązki. Tak wytrzymałem ich cały miesiąc. Zimno mieli w chałupach, jadła przy czem nie było ugotować — taką lekcyę im dałem. Kiedy wreszcie przyszli znowu do mnie gromadą, wszyscy na klęczkach błagać musieli, bym się zmiłował. — Dobrze, powiedziałem wtedy, sprzedam wam drzewa, ale mi przysięgniecie, że obijecie Stapińskiego. I co powiecie państwo: najuroczyściej przysięgli.“

To chyba najlepszy klucz do zrozumienia zatargu między ludem a ich „naturalnymi opiekunami — obszarnikami.“

BADANIA NAUKOWE.

Darwinizm w socyologii.

(Dokończenie).

Marx i Engels nie mieli czasu, powtarzam, specyalnie zająć się ścisłem określeniem stosunku socyologii, tak jak oni ją pojmowali, do biologii i jej najwyższego wykwitu—teoryj darwinistycznych. Engels wprawdzie później, już po śmierci Marxa, zwrócił większą uwagę na tę kwestyę; zastosował teoryę walki o byt i doboru naturalnego—zresztą mylnie *) — do początków społeczeństwa, do historyi powstania rodziny; pisał nawet o „Udziale pracy w przeobrażaniu się małpy w człowieka **). Marx zaś w „Kapitale,“ w rozdziale o rozwoju mechaniki, zrobił następujące zasadnicze zestawienie: „Darwin zainteresował nas *dziejami technologii naturalnej*, tj. tworzeniem się organów roślinnych i zwierzęcych, jako narzędzi wytwórczości w życiu zwierząt i roślin. Czyż dzieje tworzenia się *organów wytwórczych człowieka społecznego*, materyalnej podstawy każdej organizacyi społecznej, nie zasługują również na uwagę?“ Marx wyraził tu myśl, w której zawiera się zarówno, z jednej strony, to, co łączy socyologię z biologią, jak i to, co, z drugiej strony, socyologię od biologii oddziela. Myśl tę rozwijali później głównie Lafargue i Beltow— dość pobieżnie i okolicznościowo; systematycznemu jej rozwinięciu poświęcona jest właśnie książka Woltmanna.

Organy, szczególniej organy chwytania i miażdżenia, wspomagane przez organy obserwacyi i ruchu, są narzędziami zwierzęcia, służącemi mu do zdobywania środków pożywienia, do obrony i napadu, wogóle do walki o byt. Ich stan rozstrzyga głównie w walce o byt między zwierzętami; w ich rozwoju i wysubtelnieniu wyraża się przedewszystkiem przystosowanie i dobór najlepiej przystosowanych, poczem odbija się to i na całym organizmie. Lecz na pewnym stopniu rozwoju królestwa zwierzęcego dalsze doskonalenie się wymienionych organów w tem się wyraża—i nie może odbywać się inaczej — że zostają one *sztucznie* przedłużone i wzmocnione za pomocą kamieni i kijów. Te narzędzia walki i pracy (zdobywania środków do życia) są sztucznymi organami. Już Franklin nazwał człowieka — zwierzęciem, wytwarzającem narzędzia i za pomocą narzędzi. Na nieco wyższym jeszcze stopniu rozwoju korzystanie z narzędzi staje się możliwem jedynie na drodze społecznej, przy współdziałaniu z innymi ludźmi; i to połączenie środowiska społecznego z technicznem odróżnia ostatecznie i oddziela człowieka od zwierzęcia. A mianowicie, stwarza ono dla człowieka zupełnie nowe, zupełnie odmienne warunki walki o byt i doboru naturalnego. Tej olbrzymiej, zasadniczej nowości, tej społeczno-ludzkiej *differentia specifica*, nie dostrzegają, nie chcą wcale uwzględniać właśnie socyal-darwiniści burżuazyjni.

Natomiast liczni pisarze społeczno-demokratyczni, cytowani przez Woltmanna, i on sam, na nią kładą cały nacisk. Środowisko społeczno-techniczne bowiem, oddzielające człowieka od wpływów bezpośrednich środowiska naturalnego, sprawia, że w ludzkości działanie praw walki o byt i doboru naturalnego zamienia się na swoje przeciwieństwo. Przedewszystkiem, już nie organy naturalne, lecz organy sztuczne, technika, przystosowywać się muszą i doskonalić w dalszej walce o byt; organizm wskutek tego nie potrzebuje zupełnie się przekształcać i, pozostając niezmiennym, zdobywa nieznaną zwierzętom możność życia we wszystkich klimatach i warunkach przyrodzonych. Następnie, organ sztuczny, narzędzie, nie stanowi części organizmu, daje się od niego oddzielić, posiada istnienie własne, samodzielne, a więc może nietylko stawać się od człowieka niezależnym, ale przeciwnie, uzależniać go od siebie, jako potęga zewnętrzna. Dzieje się to mianowicie, gdy doskonalone wciąż narzędzia pracy stają się własnością tylko części społeczeństwa. Doskonalenie się organu sztucznego, narzędzia, może nie mieć absolutnie nic wspólnego z doskonaleniem się organicznem ani tych ludzi, którzy niem pracują, ani tych, którzy je posiadają i ciągną z niego korzyści; przeciwnie, stan techniki i jej stanowisko prawne w społeczeństwie wytwarzają tu zupełnie nowe warunki objektywne, w których odbywają się dobory na wspak, w których w walce o byt zwyciężają bynajmniej nie ludzie najlepsi, najwięcej warci pod względem bogactwa fizycznego i moralnego, lecz często najgorsi, najubożsi, obdarzeni własnością dzięki samemu urodzeniu, albo najmniej mający potrzeb, umiejący fizycznie i moralnie żyć byle czem. Dalej, wbrew temu, co się dzieje w naturze, ponieważ w społeczeństwie walka o byt nie toczy się bezpośrednio, lecz za pośrednictwem techniki wytwórczej, nie walczy się pazurami i zębami o krew innego, lecz maszynami i prawem ich posiadania o pracę innego, o czynność jego żywego, choćby wyniszczonego organizmu, więc jednostki zwyciężone w walce o byt, jednostki, które często stają się też rzeczywiście organicznie mało wartemi, nie giną, nie usuwają się z widowni, nie pozostawiają lepszym, zwycięzkim, swobodnego pola do wznoszenia rasy na wyższy szczebel, lecz żyją nadal, płodzą potomstwo, a wskutek powikłania się całego życia społecznego w jedną, gęstą sieć wzajemnych oddziaływań, szkodzą moralnemu i fizycznemu dobrobytowi ogółu. Rasa jednak potrzebuje doskonalenia, doboru najlepszych, usuwania złych wpływów jednostek niższych. To zagadnienie doskonalenia rasy będzie mogło rozstrzygnąć się dopiero wtedy, gdy usunięty zostanie wypaczający wpływ organów sztucznych, techniki, na dobór naturalny, gdy przestaną one służyć za narzędzia walki jednostek przeciw jednostkom, lecz staną się udziałem ogółu, dopełnieniem środowiska społecznego, jednakowego dla wszystkich, wszystkim zapewniającego jednakowy punkt wyjścia do współzawodnictwa i jednakową opiekę.

Woltmann w rozdziale p. t. „Przyrodnicze podstawy socyologii“ wykłada teoryę walki o byt i doboru naturalnego i próbuje nawet „pogodzić“ tych, co, jak Weissman, nie uznają dziedziczenia cech nabytych, z tymi, którzy widzą w takiej dziedziczności konieczny warunek przekształcania się istot żyjących pod wpływem doboru naturalnego. Nie przypisujemy sobie kompetencyi do sądzenia o tych zagadnieniach, a więc i o wartości Woltmannowskich prób godzenia; zdaje się jednak, że trzeba im odmówić poważniejszego znaczenia; wogóle, rozdział ten jest pobieżny i zbyt powierzchowny w stosunku do wielkich pretensyj naukowych autora. Pretensye te wyrażają się i w słowach przedmowy: „moja książka wskazuje, że nadeszła właśnie pora do poddania *gruntownej rewizyi*... teoretycznych podstaw współczesnej demokracyi społecznej“; pod tym względem bowiem książka ta nie daje absolutnie nic, nie zawiera żadnej a żadnej próby modnej dziś „rewizyi.“ Wogóle, nowych, samodzielnych myśli zawiera ona nadzwyczaj niewiele; nie jest wcale oryginalnem studyum naukowem. Pod tym względem polscy socyologowie, którzy się temi kwestyami zajmowali, stoją niewątpliwie wyżej od Woltmanna. Krusiński w oryginalny i bystry sposób wykazał, dlaczego społeczeństwa klasowe w żaden sposób nie mogą być porównane do organizmów. Krzywicki w „Ludach“ sumiennie i trzeźwo zbadał kierunek doborów, odbywających się w społeczeństwach kapitalistycznych, i omówił możliwą „antropotechnikę“ w społeczeństwie bezklasowem przyszłości. J. K. Potocki przedewszystkiem w swych pięknych i głębokich studyach: „Współzawodnictwo i współdziałanie,“ „Społeczeństwo

*) Por. „Źródło zakazów małżeńskich.“ *Prawda* z r. b., nr. 18—20.

**) *Die Neue Zeit*, XII, nr. 44.

jako organizm," „Dobór miłosny" i in., określił rolę czynników nadorganicznych, społeczeństwa i techniki, w życiu ludzkości, wykazał, jak zmieniają one sposoby i kierunek walki o byt i doboru, wyprowadził wnioski praktyczne co do znaczenia solidarności i świadomości. Czytelnikowi dostatecznie przygotowanemu dostarczą te książki smaczniejszego i pożywniejszego pokarmu, niż książka Woltmanna. Ale jeśli idzie o dziełko popularne, stanowiące wstęp do rozmyślań i studyów w tym kierunku, to ta ostatnia zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie, tembardziej, że z całą otwartością i zapałem przekonywającym wykłada wyznawaną przez autora doktrynę społeczną. Rozdziały, dotyczące zjawisk społecznych, nie są tak powierzchowne, jak ów rozdział czysto przyrodniczy. Wreszcie i z punktu widzenia naukowego należy się autorowi uznanie przynajmniej za zestawienie badań Sterne'a, Geigera, Noirée'go i innych, dotyczących znaczenia organów sztucznych, techniki, przy wytworzeniu się cech specyalnie człowieczych, oddzielających ostatecznie człowieka od królestwa zwierzęcego. „Tylko krzemieniem uzbrojona ręka pierwotnego człowieka mogła nawyknienie do prostego chodu uczynić istotnie trwałą i cenną korzyścią w walce o byt... Człowiek używał kamienia jako pocisku, jako broni na odległość; przyczem głowę musiał trzymać podniesioną, a ciało wyprostowane, ażeby oko i ręka równocześnie skuteczność rzutu zabezpieczały. Gałęzie i kije służyły do bicia, do podpierania się przy chodzeniu; wolno więc twierdzić, że *dzięki narzędziu* pochyły i zgarbiony grzbiet małpy wyprostował się, a przez to działalność jego mózgu i narządów zmysłowych spotężniała. Podniesienie zaś piersi umożliwiło rozwój *mowy*..." Używanie narzędzia, obserwacya przyczynowości objektywnej, zachodzącej przy świadomem działaniu człowieka za pomocą jednego przedmiotu przyrodzonego na drugi, były podług L. Geigera główną przyczyną rozwoju logiki, rozumu ludzkiego (str. 311—324—323). Gdyby był Woltmann myśli te gruntowniej rozwinął i wyłożył, mielibyśmy ważne dopełnienie teoryi materyalizmu ekonomicznego. W każdym razie, pobudzą one czytelnika do zastanawiania się nad specyficznie społecznymi, nadorganicznymi warunkami rozwoju naturalnego ludzkości, których przeoczenie jest źródłem wszystkich krzyczących błędów szkoły burżuazyjno-biologicznej w socyologii.

Zastanawiając się — powiedzmy poprostu — nad mniej lub więcej świadomą bezczelnością, z jaką jej adepci przenoszą do życia społecznego ludzkości prawa, wysnute z obserwacyi życia zwierząt, nieposiadających techniki i zaledwie zarodki społeczeństwa, dochodzę do następującej analogii, która ilustruje całą bezsensowność podobnego postępowania: Oto w dziedzinie przyrody martwej ciągła wymiana między danym przedmiotem a otoczeniem jest przyczyną zepsucia, zguby danego przedmiotu; skała w ciągłem zetknięciu z powietrzem wietrzeje, nóż — rdzewieje. Natomiast w wyższej dziedzinie przyrody organicznej ciągła wymiana z otoczeniem jest, wręcz przeciwnie, warunkiem nieodzownym życia. Kto, nauczony przykładem chowanego do szuflady kawałka metalu, i przenosząc żywcem do dziedziny wyższej wnioski, wysnute z obserwacyi dziedziny niższej, chciałby jakąkolwiek istotę żywą ustrzedz od zepsucia i śmierci przez zamknięcie, przez oddzielenie jej od otoczenia, wykluczenie wzajemnej między nią a otoczeniem wymiany, ten osiągnąłby rezultat wręcz przeciwny — szybką śmierć pacyenta. Do takiego właśnie waryata i okrutnika podobni są „uczeni," którzy w imię „praw natury," właściwych jedynie światu pod-społecznemu, chcieliby w społeczeństwie ludzkiem uwiecznić walkę jednostek o byt *).

Dr. K. Krauz.

Dwa zgony.

(Bain — Lecky).

Anglia straciła dwóch znakomitych badaczów, którzy przez długi czas byli przedmiotem jej chluby. Daleko po za jej granice przeszła sława Aleksandra Baina, którego wprowadzono również do naszej literatury i który na naszą umysłowość oddziałał dość mocno. Szkot z urodzenia (1818 r.), był profesorem logiki w Aberdeen i sekretarzem urzędu zdrowia w Londynie. Literaturze polskiej przyswojono jego dzieła: „Umysł i ciało" (1874), „Logika" (1878), „Nauka wychowania" (1880), w dobrych przekładach Fr. Kurpińskiego. Nadto jego tytułami zasługi są prace: „The Senses and Intellect" (1868), „The Emotions and the Will" (1875), „Mental and moral Sciences" (1865) i inne mniejszego znaczenia. Głównem polem jego dociekań i zdobyczy była psychologia. Szybki rozwój tej nauki odrzucił wiele jego twierdzeń i zaliczył je do szacownych pamiątek, ale również wiele zachował, jako poważne rozwiązania zagadnień. Zwłaszcza w objaśnieniu stosunku zjawisk duchowych do procesów fizycznych teorya Baina posiada dotąd głos, którego żaden psycholog lekceważyć nie może. A głos ten ma nadto wartość ogromnie jasnego wykładu i tej wielkiej przejrzystości, która tak świetnie wyróżnia pisarzów brytańskich.

W. Lecky, najszerzej ze współczesnych znany historyk angielski, był z pochodzenia Irlandczykiem (ur. 1838). Naprzód zwrócił on na siebie uwagę zbiorem zarysów o „przewodnikach opinii publicznej w Irlandyi," ale imię jego nabrało rozgłosu, po wyjściu dwu dzieł: „Historya powstania i wpływu ducha racyonalizmu w Europie" (1866) i „Historya moralności europejskiej od Augusta do Karola W." (1869), które były kilkakrotnie przedrukowywane i na wiele języków tłomaczone. Główną wszakże jego pracą była „Historya Anglii w XVIII stuleciu" (1890), po której już ukazały się tylko drobne („Demokracya i wolność," o Gladstonie i in.), sprawom bieżącym poświęcone.

Nie można zaprzeczyć, że Lecky obfitym i nieznanym materyałem oraz żywym wykładem zaciekawiał czytelnika i pobudzał go do myślenia; ale był to już duch nieco przestarzały z pozorami szerokiego liberalizmu a z gruntem bardzo zachowawczym. W obu swych pracach, dotyczących historyi kultury, występuje on jako racyonalista i przeciwnik fanatyzmu religijnego, jako surowy sędzia nietolerancyi, usiłujący szale umiarkowania i rozsądku utrzymać w ciągłej równowadze, wszakże, jak to zwykle bywa przy podobnem balansowaniu, sięga płytko i cofa się przed śmiałem wnioskowaniem. Chociaż liberał — potępiał Gladstona, chociaż Irlandczyk— sprzeciwiał się *home-rule'owi*, chociaż demokrata — szedł pod chorągwią unionizmu. Anglia szczególnie jest płodna w takich zachowawczo-postępowców, w takich dziwotworów z głową człowieka a tułowiem zwierzęcia. Typowym ich przedstawicielem był Lecky.

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu (nr. 43, str. 512, szp. 3) pominęło być Dramarda, zamiast Drumonda.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Ignacy Dąbrowski: *Chwila była przedwieczorna*, nakł. J. Fiszera, Warszawa, 1903. — Feliks Brodowski: *Chwile*, z przedmową Stanisława Krzemińskiego. Nakł Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1903.

Autor „Śmierci" i „Felki" milczy. Czasami na szpaltach czasopism ukaże się niewielki utwór, podpisany nazwiskiem Dąbrowskiego, to jest jedyna oznaka, że utalentowany autor istnieje i pisze. Z tych, jakby okruchów niepospolitego talentu i większej rozmiarami „Sonaty cierpienia," powstał parę lat temu trzeci tom pism Dąbrowskiego, a w roku bieżącym przybyła nowa książeczka, maleńka, bo zawierająca zaledwie 112 stronic, wydana wytwornie, z portretem utora i długą, dedykacyę.

W tej małej książeczce talent Dąbrowskiego z nowej przedstawił się strony. Dał on kilka drobiazgów i dowiódł, że nietylko w głębie dusz ludzkich wnikać potrafi. „Chwila przedwieczorna" — to w znacznej części opisy natury, na którą Dąbrowski umie patrzeć, na której się zna i której piękno po swojemu odczuwa. A czuje wytwornie, subtelnie, powiedziałbym elegancko. Natura jego nie sprawia wrażenia potężnego żywiołu zadziwiającego swoim ogromem, nie zdumiewa tysiącem różnorodnych objawów swej siły i grozy; jest prawdziwa i ładna, ale ma w sobie coś z wykwintnego salonu. I czy to z autorem wdrapuję się na Wezuwiusz, czy wraz z nim patrzę z Sorrento w dal morską, wrażenie pozostaje to samo. Dąbrowski w opisach swoich jest drobiazgowy, zmiany, zachodzące w naturze, podchwytuje w lot, umie im nadać wdzięk, daleki od banalności, potrafi odtwarzany obraz ożywić i urozmaicić przepychem barw, lecz mimo wszystkie zalety, naturze tej brak jest życia wewnętrznego. Dąbrowski naturę podpatruje znakomicie, ale nie żyję z nią razem. Odczuwa tylko pewną sferę zjawisk, tę, która sama bije w oczy, lecz nie ogarnia całości i nie wnika w jej treść bogatą. To też natura jego jest za harmonijna, za gładka, za mało ma w sobie życia samoistnego w stosunku do ilości cech zewnętrznych, które autor doskonale widzi, słyszy i odtwarza.

Na czoło maleńkiego zbiorku wysuwa się nowela p. n. „Czekam cię!" Motyw stary i zużyty (wiosna w naturze budzi wiosnę w sercu ludzkiem), ale ujęty w ramy misternego artyzmu i opromieniony uczuciem, tchnie czarem świeżości i pachnie, jak wiosna.

„Chwila była przedwieczorna" powinna mieć powodzenie. Pisana jest językiem bogatym, wysiłków myśli ze strony czytelnika nie wymaga, czyta się gładko, przyjemnie, a efektowną szatą zewnętrzną zaleca się do położenia na stół w dystyngowanym salonie.

Nie mogą wróżyć powodzenia „Chwilom" p. Brodowskiego. Taki „towar" w handlu księgarskim „nie idzie." „Chwile" nawskroś przesiąknięte łagodną melancholią i smutkiem, napewno nie podobają się przeciętnym zjadaczom chleba beletrystycznego. Aby „Chwile" zrozumieć, trzeba się niejako z ich autorem zżyć, trzeba w czasie czytania zapomnieć o sobie i myśleć sposobem myślenia samego autora. Bo p. Brodowski nie wchodzi w żadne kompromisy z czytelnikiem, nie czyni dla niego żadnych ustępstw — jest sobą od

początku do końca. A powiem odrazu: jest poetą-marzycielem. „Chwile“ — to poezye smutku, tem głębszego, że omroczonego cichą rezygnacyą. Żal i tęsknota, te nieodstępne cienie dusz poetycznych, włóczą się za autorem, czepiają się jego myśli i towarzyszą mu wszędzie. A smutek, łkający w pierwsiach poety, ma szlachetne podłoże: złożyły się na nie cierpienia ogólno-ludzkie. Ból poety nie wyodrębnia się i zamyka w sobie, lecz jak cicha fala wpada w ocean niedoli człowieczej i jak fala w nim ginie. O autorze „Chwil“ powiedziałbym to, co on sam mówi o jednym ze swoich bohaterów, a więc, że „widzi duszę swoją, jako dno morskie, na którem osiadły olbrzymie ławice niedoli ludzkiej. Kto nie zaniósł tam ziaren swoich? Nie widząc go, częstokroć niosły mu je tłumy, skarżąc się, iż są głodne, inne, że są ciemne, inne, że uczucia ich sponiewierane zostały; młodzi skarżyli się, iż życie nie ma dla nich uroku, starzy — iż goryczą ich napoiło.“

Na takiem dnie smutne wykwitają kwiaty. Woń ich nie odurza i nie przesyca goryczą, ale budzi w duszy dreszcz niepokoju. A tego nie lubi „szeroka“ i... dobrze wypasiona publiczność, kupująca książki i pralinki. O, ktoby tam w głębi swej duszy szukał ziarn, zniesionych przez tłumy głodne i ciemne, ktoby wreszcie uwierzył dzisiaj, że na takim gruncie wyrasta kwiat piękna! Nie, p. Brodowski nie będzie miał powodzenia w kołach „szerokiej“ publiczności. W jego „Chwilach“ nikt nikogo nie uwodzi, nikt nie zdradza i nikt nie tańczy kankana, niema w nich „fabuły,“ potrzebnej do szczęścia p. Choińskiemu, niema modnie zrobionych zgrzytów duszy, niema nic, coby było sztuczne i nieszczere. Brodowski nie szuka żadnych nadzwyczajności. Myśl jego, jak ptak krąży nad obszarami bólu człowieczego, to znowu biegnie po gościńcu nędzy i krzywd, zagląda chmurna do szpitala, wkrada się do duszy starca, odchodzącego ze świata, czepia się krzyżów cmentarnych i chętnie siada na grobowcach. To nie jest świat literacki, tak jak nieliteracką jest natura, którą Brodowski opisuje. Wiosenna świeżość uczuć naiwnego dziecka, czy też naiwność ludzi pierwotnych, jak strumień ożywczy tryska z tych opisów, takich prostych i takich niewyszukanych. „Animizm w tych nowelkach jest doniosłym czynnikiem poetyczności“ — mówi w przedmowie do „Chwil“ Stanisław Krzemiński. I słusznie. Oto wymowna ilustracya:

„...Ziemia *chciwie piła* ciepło, które *gubił i upuszczał rozbawiony* wiatr, a drzewa, trawy i kwiaty *chwytały* jego powiewy *tak łakomie, jakby go chciały rozkraść.* Wiatr *śmiał się* i każdemu *z rąk umykał.* Lipom *targał głowy*, a gdy *gniewne* zsypywały nań pyły kwiecia, *on śmiał się kontent*, że będzie pachniał. Brzozy *poufale za obwisłe włosy pociągał i śmiał się, patrząc, jak fałszywe płaczki ze złością* układają napowrót kędziory swoje w posępne sploty i *udają* dalej smutek.“

W p. Brodowskim zyskała literatura nasza silnie zarysowaną indywidualność, nad którą nie powinno się przechodzić do porządku dziennego. Zgadywać dzisiaj, na jakie wyżyny wzniesie się talent p. B. i jak się dalej rozwinie, byłoby zabawką co najmniej bezcelową: Nie kuszę się o to. Na zakończenie uwaga (bynajmniej nie rada, gdyż udzielanie mentorskich rad autorom zaliczam do przeżytków śmieszności). Opisom natury p. Brodowskiego brak jeszcze plastyki i wyrazistości, słowom, — siły, odtwarzaniu uczuć — głębi, którą autor czasami zdradze, a którą więcej jeszcze w nim przeczuwam.

Przyszłość pokaże, o ile luki te zostaną wypełnione. Czekajmy!

Artur Śliwiński.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* ogłasza: Na skutek starań włościan z gub. Kieleckiej, poszkodowanych przez powódź, generał-gubernator warszawski pozwolił wypożyczyć petentom, na warunkach ulgowych, 36,000 rb., z pozostającego w rozporządzeniu Głównego Naczelnika kraju funduszu publicznego włościan byłych majątków skarbowych. Sumę tę asygnowano do rozporządzenia gubernatora kieleckiego.

— Radosną wieść przynoszą nam pisma: na zebraniu członków Towarzystwa wyścigów konnych „w celu powiększenia dochodów“ postanowiono wprowadzić „totalizator potrójny“ — ulepszoną maszynę do łupienia graczów. Czegóż nam jeszcze potrzeba? Chyba paru nowych lombardów.

— Mieszkańcom Mandżuryi, napadanym i dręczonym przez chunchuzów, grozi klęska głodowa. Skutkiem deszczów i powodzi widoki urodzajów, które były bardzo pomyślne, obecnie znikły zupełnie. Ludność będzie musiała prawdopodobnie, jak i lat poprzednich, żywić się liśćmi i korą drzew.

— W ministeryum skarbu powstał projekt ustanowienia posad inspektorek w tych fabrykach, gdzie pracuje znaczna liczba kobiet. W tym celu departament przemysłu i handlu zażądał od inspektorów fabrycznych Królestwa Polskiego przedstawienia danych o ilości kobiet i dziewcząt nieletnich, pracujących w fabrykach i zakładach przemysłowych. Największa liczba przypada na gubernię Warszawską, gdzie procent kobiet, pracujących w fabrykach zwiększa się stale.

— *Now. Wr.* oznajmia, że wprowadzenie języka rosyjskiego do obrad w senacie finlandzkim jest wyłączną zasługą obecnego generał-gubernatora Bobrikowa, który zaraz po objęciu swego urzędu poczynił starania w tym kierunku.

— Na cmentarzu w m. Timie, gub. Kurskiej — pisze *Russk. Inwalid* — leży płyta zwykłego piaskowca z napisem: „Tutaj ciało dymisyonowanego rotmistrza Fedora Ilijcza Łysienki, urodził się 1751 r., d. 12 lutego, zmarł 1832 r., dnia 29 kwietnia; żył lat 81 miesięcy 2, dni 17; w życiu swem, podczas wojny, sam wziął w niewolę Kościuszkę.“ Ponieważ grób jest zniszczony, *Rusk. Inw.* wzywa rodaków, aby nie dopuścili do zniknięcia mogiły bohatera.

— W sprawie zbudowania za rogatką Wolską zakładu kremacyjnego do palenia śmieci, ministeryum spraw wewnętrznych zażądało od władz miejscowych planu miejscowości, gdzie zakład ten ma być wzniesiony, ze szczegółowem wskazaniem znajdujących się w sąsiedztwie budynków.

— Według doniesienia *Odesk. Now.*, grupa Żydów odeskich, złożona z 35 rodzin, powzięła zamiar utworzenia kolonii na terytoryum leżącem po za Jordanem. Każda z rodzin uczestniczących wniesie ma 1,000 rb. na kupno ziemi i urządzenie studzien.

— W gub. Płockiej ożywił się ruch wychodźczy do Ameryki; wyjeżdżają całe rodziny, mimo zapotrzebowania rąk do pracy w polu na miejscu. (*Echa pł.*).

— Zmarła A. O Jankowska, właścicielka m. Tomaszowa w pow. Miechowskim, zapisała testamentem 600 rb. rocznie na trzy stypendya dla studentów uniwersytetu warszawskiego, oraz 200 rb. rocznie dla dwóch synów włościan bezrolnych.

— Zatwierdzono ustawę trzeciej Kasy pogrzebowej w Płocku.

— Ogłoszono ustawę, mińskiej szkoły handlowej, do której przyjmowani będą uczniowie bez różnicy stanu i wyznania, z ograniczeniem liczby Żydów do 40%.

— *Finlandzkaja Gaz.* ogłasza zakaz wywieszania w Finlandyi innych flag i godeł, prócz narodowych rosyjskich, oraz rozporządzenie, na mocy którego sprawy o naruszenie przepisów co do zgromadzeń publicznych i obchodów uroczystych rozstrzygane będą na drodze administracyjnej.

— Towarzystwo dziennikarzy polskich we Lwowie uchwaliło przystąpić zbiorowo do „Ligi dla ochrony czci.“

— Zmarły w Nowym-Yorku milioner Mackay cały swój majątek, wynoszący 25 mil. dolarów, zapisał uniwersytetowi Harwarda.

— Trybunał kasacyjny w Brukselli, uzasadniając wyrok „wolnością sumienia,“ uniewinnił żołnierzy, którzy konsekrowane hostye przynieśli do koszar w celach brzydkiej zabawy.

Z Poznańskiego. Poseł Kulerski skazany został na miesiąc więzienia za obrazę stanu nauczycielskiego.

— W Hucie Laury aresztowano znowu dwadzieścia kilka osób, którym wytoczony będzie proces o zaburzenia podczas wyborów.

— Izba karna w Gliwicach skazała na 20 marek kary księdza Gnielińskiego z St. Louis w Ameryce, oskarżonego o werbowanie dziewcząt do wyjazdu. Obwiniony tłomaczył się, że chciał z sobą zabrać trzy dziewczyny, które miały zamiar wstąpić w Ameryce do klasztoru.

— Do poznańskiego bractwa strzeleckiego, w którem Polacy stanowili $^3/_4$ członków, zgłosiło się w ostatnich czasach 263 kandydatów Niemców. Przyczynę tego napływu *Frankf. Ztug.* tak wyjaśnia: Regencya poruszyła cały aparat i przyrzekła każdemu Niemcowi, który będzie przyjęty do bractwa, poniesienie kosztów; ponieważ koszta wynoszą po 45 m. od osoby, przeto regencya dotąd za 252 przyjętych kandydatów zapłacić musi 11,240 marek.

Szkoły i wychowanie. W gimnazyum męzkiem w Płocku nie odbywają się wykłady fizyki i nauk przyrodniczych z powodu braku nauczycieli. (*Echa pł. i łom.*).

— W uniwersytecie kijowskim, według doniesienia *Kijewlanina*, na wszystkich wydziałach, z wyjątkiem filologicznego niema wcale w roku bież. kursu IV. Wynikło to stąd, że w r. 1902, po rozruchach, studenci II kursu wszystkich wydziałów, z wyjątkiem filologicznego, zostali wydaleni lub pozostawieni na drugi rok, gdy studenci wyższych kursów zdawali egzamin zwykłym trybem.

— Ministeryum oświaty dało wyjaśnienie, że do wykładów arytmetyki handlowej, buchalteryi i korespondencyj w szkołach realnych mają prawo osoby, które ukończyły wyższą szkołę handlową i posiadają odpowiednie świadectwo komitetu naukowego ministeryum skarbu.

— Uniwersytet w Tomsku ogłasza konkurs na wakującą katedrę patologii ogólnej. Termin do d. 2 stycznia r. p.

— W uniwersytecie kijowskim wakują katedry: kliniki terapeutycznej szpitalnej, takież kliniki wydziałowej, dyagnostyki, oraz patologii i terapii szczegółowej; w uniwersytecie odeskim: kliniki szpitalnej terapeutycznej, takież kliniki chirurgicznej, chorób skórnych i chorób dziecięcych. Kandydaci winni się zgłaszać do ministeryum oświaty.

Wadomości naukowe. Dnia 15 b. m. otworzono w Wejmarze, w willi „Siberbrick,“ muzeum imienia Fryderyka Nietzschego, w którem pomieszczono wszystkie jego dzieła drukowane i rękopisy.

Literatura i prasa. *Tygodnik Ilustrowany* ogłosił konkurs na humoreskę w rozmiarach 200—300 wierszy; nagroda 200 rb., termin 15 stycznia 1905 r.

— Sejm niższo-austryacki ogłasza konkurs z nagrodą 2,000 koron za dramat historyczny. Żydzi lub z Żydów pochodzący wyłączeni są od współubiegania się.

Sprawy ekonomiczne. *Kur. Warsz.* donosi: Jeden z tutejszych gubernatorów poruszył w ministeryum spraw wewnętrznych sprawę pozwolenia na urządzenie w miastach i osadach osobom prywatnym targów na bydło na własnych posiadłościach, z nadaniem im prawa pobierania za to opłaty. Ministeryum zawiadomiło generał-gubernatora warszawskiego, że nie widzi przeszkód dla urządzenia owych targów, z tym jednak warunkiem, aby właścicielom ich nie udzielano praw wyjątkowych i żeby obowiązkowo zastosowano do nich potrzebne przepisy weterynaryjno-sanitarne i techniczne. Sprawa urządzenia takich targów, zwłaszcza w osadach, powinna być rozstrzygana w porozumieniu z zebraniami gminnemi.

— Pracownicy banków prywatnych i większych kantorów bankierskich w Warszawie, zapewniwszy sobie w jednym z banków otwarcie potrzebnego kredytu, tworzą Towarzystwo budowy domów kooperacyjnych, w których każdy uczestnik będzie spłacał przez pewien określony czas wartość swego mieszkania ratami, poczem ono przejdzie na jego własność.

— W kwietniu roku przyszłego odbędzie się w Petersburgu międzynarodowa wystawa kucharska i produktów spożywczych.

Poczta. W Konstantynopolu otworzone zostało rosyjskie biuro pocztowe, do którego należy kierować przez Granicę listy i posyłki adresowane do Turcyi, Syryi i Egiptu.

— Na stacyi Nahorze kolei Poleskich otworzono oddział pocztowy.

Koleje i komunikacye. Zarządy warszawskich kolei żelaznych otrzymały zawiadomienie, że wobec przyjęcia linii-kolejowej „Granica-Chińska" (Pograniczna) pod zarząd kolei Usuryjskiej, linia ta, począwszy od d. 10 b. m. włączona została do bezpośredniej komunikacyi towarowej przez kolej Wschodnio-Chińską z koleją Amursko-Usuryjską, na oddzielnych warunkach i taryfach przewozowych.

— Od d. 14 listopada r. b. wprowadzone będą na kolejach nowe przepisy o sprzedaży przez licytacyę ładunków niewykupionych. Zależnie od trwałości materyałów podzielono je na trzy kategorye i wyznaczono terminy odbioru: 48-godzinny, 7 i 15-dniowy.

— *Odesk. Now.* donoszą, że na stacyi Tyraspol zginął cały wagon zboża; wszelkie poszukiwania nie naprowadziły na ślad tak niezwykłej zguby.

— Od Nowego Roku zmienione będą nazwy stacyj na tutejszych kolejach: na Wiedeńskiej — Kowal na Czerniewice i Ostrowy na Krośniewice; na Nadwiślańskiej — Konopnica na Radowiec, Kotuń na Broczków i Radzyń na Belmo; na Petersburskiej — Wilejka na Nowo-Wilejsk, Biała na Strugi, Fedosino na Branczaninowo i Zwanówka na Meżwidy.

— Na stacyi Kowel zawieszono przyjmowanie depesz prywatnych.

— W pociągach pospiesznych z Moskwy przez Syberyę do Mandżuryi ustanowione będą posady starszych kontrolerów, biegle władających językami francuskim i angielskim.

Klęski żywiołowe. We wsi Czerniewie, pow. Augustowskim, spaliło się 12 domów i 50 zabudowań gospodarskich — straty wynoszą 12,000 rb.; w Krasnopolu, gub. Mohylowskiej — 200 domów; z górą 2,000 ludzi znalazło się w nędzy.

— D. 20 b. m. w Małoarchangielsku szalejąca burza, w połączeniu z gradem i śniegiem, wyrządziła duże szkody.

— W st New-York i New-Jersey 33 godziny trwająca ulewa poczyniła olbrzymie spustoszenia, zalała miasta, pozmywała planty kolejowe, zatopiła rozległe przestrzenie.

Katastrofy. W Lublinie, na rzece Czechówce, runął most nowowzniesiony kosztem 15,000 rb., który za kilka dni miał być oddany do użytku.

— Na kolei Pensylwańskiej, w stanie Nowoyorskim, spotkały się i rozbiły dwa pociągi robotnicze — 20 osób zginęło, 40 ciężko ranionych.

— Podczas budowy mostu na kolei Wabash, prowadzącej z Chicago do Buffalo, runęły wiązania żelazne, zatapiając w nurtach rzeki kilkunastu robotników.

Zmarli. Klemens Podwysocki, literat i poeta, w Warszawie.

— Ryszard Henryk Savage, powieściopisarz amerykański, w Nowym-Yorku.

— Gustaw Moser, komedyopisarz niemiecki, w Berlinie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. W. W. Aforyzmy banalne — nie do druku.

SPROSTOWANIE. W nr. poprzednim, w tytule działu powinno być nie „literatura szwedzka," lecz „skandynawska." Knut Hamsun bowiem nie jest Szwedem, lecz Norwegiem, piszącym językiem literackim bardzo zbliżonym do duńskiego.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Октября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka